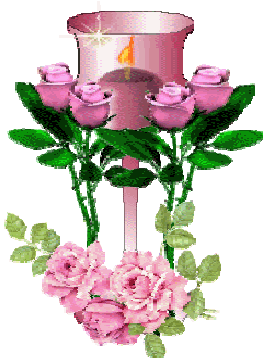




# ELIZABETH REYNISH

## W RYTMIE SERCA



Przełożyła Alicja Pomećko, Ilona Wołyniec

## Rozdział I

Gdyby ktoś zapytał mnie, co takiego właściwie się wydarzyło, nie byłabym w stanie opowiedzieć. Wszystko stało się tak nagle... Jechałyśmy w dół traktem, (trudno to było nazwać drogą), gdy wtem, w świetle reflektorów pojawiło się przed nami coś wielkiego i białego. Rosie, bo to ona prowadziła, w ostatniej chwili skręciła w lewo i ominęła to coś dosłownie o centymetry. Potem, oczywiście, próbowała zawrócić na trakt, ale samochód wpadł w poślizg. Na kilka sekund straciła nad nim kontrolę i z okropnym trzaskiem uderzyłyśmy w murek.

— Mój Boże! — wykrzyknęła Rosie.

— Czy z tobą wszystko w porządku? — spytałam, wyplątując się z pasów bezpieczeństwa.

Ze mną tak, ale nie z samochodem. Do diabła! Co to było, Franco?

(Nie, nie jest mężczyzną. Naprawdę mam na imię Frances).

— Nie wiem. Wyglądało, jakby chciał nas zaatakować olbrzymi bałwan — odparłam. — Wyjdę i zobaczę.

Wzięłam latarkę i ostrożnie wysiadłam z samochodu. Usłyszałam plaśnięcie błota pod stopami. Opierając się o samochód, skierowałam światło na maskę. Rosie zawołała przez okno: — I co?! Powiedz mi nawet najgorsze!

— To jest najgorsze, Rosie.

Podaliśmy jej rękę, pomagając przedostać się przez błoto. Przyświecając sobie latarką wyteżyła przez chwilę wzrok.

— Tam coś jest przy murku, Franco — stwierdziła. — Uderzyłyśmy w to.

— Może to jakiś zwierzak?

— Nie, to nie jest zwierzak. To rower.

— Rower? Nie widziałam żadnego roweru! — zdumiałam się.

Jest wciśnięty w maskę samochodu. Ktoś musiał go oprzeć o murek i zostawić.

Podeszłam, żeby przyjrzeć się temu z bliska. Mgła rozproszyła się

niecو, więc bez problemu dostrzegłam wrak roweru.

Za nami, w ciemności, odezwał się męski głos.

— Halo! Jest tam kto? Co się stało? — zawołał zbliżający się do nas mężczyzna.

Był wysoki i dobrze zbudowany — niestety, tylko tyle mogliśmy dostrzec we mgle.

— Próbowałam wyminąć olbrzymi, biały kształt, który wynurzył się nagle przed nami — wyjaśniła Rosie. Ominęłam to coś, ale potem wpadłam w poślizg i w końcu uderzyłam w murek, i... ten rower!... Strasznie mi przykro. Coś mi mówi, że to pańska własność.

Stałyśmy w milczeniu, a on tymczasem poszedł ocenić rozmiary katastrofy. Przyświecał sobie latarką. Obejrzał wszystko dokładnie i wrócił do nas.

— No cóż, takie rzeczy się zdarzają — mruknął. — Dokąd jechałyście?

— Do Yearning Bell — odpowiedziała Rosie. — Mgła zaczęła gęstnieć i opadać, więc zgubiłyśmy drogę. Potem znalazłyśmy ten trakt i pomyślałam sobie, że musi gdzieś nas zaprowadzić. Jechałyśmy spokojnie, gdy nagle ta zjawy wyskoczyła prosto pod samochód. Resztę już pan zna. Naprawdę nie umiem wyrazić, jak mi przykro, że zniszczyłyśmy pański rower! Oczywiście, pokryję wszystkie koszty...

— Nie powinienem zostawić go tutaj, we mgle — odparł. — A otóż i mamy pani zjawę — wskazał na biały kształt, który przykucnął na stoku, kilka jardów od nas.

— Co to jest? — zapytałam, wyżejając wzrok

— Wygląda jak olbrzymia owca.

— Myślę, że to pies. Możliwe, że on też się zgubił. Chodź tu! — zawołał.

Biały kształt podbiegł do nas, merdając przyciętym ogonem. Usiadł naprzeciwko mężczyzny i wyciągnął do niego łapę. Mężczyzna przykucnął i śmiejąc się potrząsnął nią.

— Co ty tu robisz, na drodze, w taką noc? Gdzie twój pan? — Złapał

psa za obrozę i próbował odczytać widniejący na niej napis.

— Niestety, nic z tego — oznajmił wstając.

— Dobry Boże! To po prostu zwykły owczarek! — wykrzyknęła Rosie. — A ja myślałam, że to jakiś okropny śniegowy bałwan. Ty wstręciuchu! — krzyknęła na niego. — Zobacz, co narobiłeś, potworze!

Pies machnął ogonem i podał jej łapę. Zaśmiała się i poklepała go po głowie, po czym zwróciła się do nieznanego.

— Czy może nam pan powiedzieć, gdzie jesteście? — zapytała. — Jak daleko stąd do najbliższego miasta, wioski czy czegoś w tym rodzaju?

— Nie znam dobrze tej okolicy. Ktoś mi mówił, że tą drogą można się dostać do Lillington. To musi być gdzieś niedaleko. Ten trakt powinien połączyć się z główną drogą. Powiedziano mi, że od Middleton do Lillington okolica jest raczej nie zamieszкана. Nie ma żadnych wiosek, tylko farmy.

— Ojej! — westchnęłam zmartwiona.

— Wracajcie do samochodu i ogrzejcie się — poradził. — Pójdę dalej tym traktem i zobaczę, czy nie ma tu gdzieś innej drogi. Może dojdę do Lillington? Wezmę tego paskudnego bałwana ze sobą — Snowman, to dobre imię dla niego... Może zna drogę? Mielibyśmy wtedy wielkie szczęście. Zgadza się?

— To bardzo miło z twojej strony — uśmiechnęła się Rosie. — A propos, jestem RoseCampion, a to moja siostrzenica, Frances Thorne.

— Martin Heaton — przedstawił się. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Jeżeli nie znajdę miasteczka czy jakiejś osady, to wrócę. A jeżeli mi się poszczęści, postaram się zorganizować transport. W porządku?

— Oczywiście. Dziękujemy ci bardzo — powiedziała Rosie.

— Za mną, potworze! — zawołał do psa i odszedł, oświetlając drogę latarką.

— Włazimy do samochodu — zaproponowała Rosie. — Lepiej wyjmijmy koce z bagażnika, póki jeszcze jesteśmy na zewnątrz. Robi się coraz zimniej, a w środku nie ma ogrzewania.

Wyjęłam koce i koszyk z resztkami zapasów, które zabrałyśmy na piknik. Wsiadłyśmy do samochodu, gdzie owinięte kocami zabrałyśmy się do jedzenia herbatników i jabłek. W koszu odnalazłam też sok pomarańczowy. Byłam naprawdę głodna!

— Całe szczęście, że dziś po południu nie zjadłyśmy wszystkich herbatników — stwierdziłam.

— Następnym razem będziemy wiedziały, że „trzeba być przygotowanym na wszystkie ewentualności” Kto to powiedział? — zastanawiała się.

— Mój ojciec, kiedy nas żegnał — przypomniałam.

— A, rzeczywiście! Chwileczkę, mamy coś jeszcze! — poszperała w torebce i wyciągnęła tabliczkę czekolady. Zapomniałam o tym.

Podzieliłyśmy się czekoladą i od razu humory nam się poprawiły. Żułam w milczeniu i myślałam

O tych wszystkich okolicznościach, które sprawiły, że w końcu się tutaj znalazłam.

Trzy tygodnie temu zrezygnowałam ze spędzenia urlopu w Toscanii i zastanawiałam się, co zrobić z dwoma tygodniami wolnego.

Początkowo planowałam odpoczynek w czerwcu, ale mnóstwo spraw — i to wszystkie naraz — stanęło mi na przeszkodzie. W ciągu jednego tygodnia zachorowały trzy dziewczyny z pracy, a jednocześnie biuro zaczęło przenosić na inne piętro. Wyglądało to mniej więcej tak, że wszystko zostało zwalone na kupę, a potem trzeba było zrobić z tym porządek. Miałam czas pomyśleć o urlopie dopiero w sierpniu, a to jest miesiąc, w którym nienawidzę wyjeżdzać gdziekolwiek. No więc, kiedy zdecydowaliśmy się na Toskanię (my, to znaczy ja, chłopak, z którym wtedy chodziłam i dwójka naszych przyjaciół) — był już wrzesień. Tuż przed samym wyjazdem pokłóciłam się z moim chłopakiem tak strasznie, że rozstaliśmy się na zawsze.

W następnym tygodniu złożyła nam wizytę ciotka Rose, przez nas nazywana Rosie. Podczas kolacji zakomunikowała, że jedzie na północ i zamierza tam spędzić dwa tygodnie.

— Pomyśl czasem o mnie, wędrującej w deszczu i mgle, kiedy będziesz się opalała w Toskanii — zwróciła się do mnie.

— Nie wybieram się do Toskanii — oznajmiłam.

— Gdzie wobec tego zamierzasz pojechać? Pewnie znowu odłożyłaś swój wyjazd na później? — zakpiła ze mnie.

— Nie mam żadnego pomysłu na urlop.

— A może przemawia do twojej wyobraźni tajemniczy północny krajobraz, pełen gór i dolin? — spytała. — Powiedziano mi, że okolica jest tam fantastyczna.

— Przed chwilą wspominałaś o nieustannym deszczu i mgle.

— Żartowałam! Pomyśl o tym, Franco. Będę opłacać za ciebie hotele, a ty w zamian pomożesz mi w sporządzaniu notatek i robieniu zdjęć. Przy okazji wypróbujesz swoją nową kamerę. Przemyśl to. Będziesz mogła prowadzić mój samochód, kiedy tylko zechcesz.

To była bardzo kusząca propozycja. Rosie była właścicielką nowiuteńkiego, wyposażonego w nowoczesne urządzenia volvo. Marzyłam o tym, żeby móc je poprowadzić.

— Czy to ma być praca na zlecenie, czy jeden z twoich pomysłów? — zapytała moja mama.

— Zlecenie. Zazwyczaj, jak wiesz, „nie robię” Anglii, ale Sandra akurat urodziła dziecko. Przypuszczaliśmy, że Alex się tym zajmie. Niestety - właśnie porzucił nas dla telewizji, świnią. No i okazało się, że jestem jedyną sobą, która jest w stanie się tym zająć. Kto wie, to może być nawet zabawne. Ojej, powinnam już iść! Franco, wyjeżdżam w piątek. Do środy daj mi znać, czy chcesz jechać ze mną, tak żebym mogła zarezerwować ci miejsce w hotelu.

Wysłałam z ciotką przed dom.

— Dokąd konkretnie masz zamiar jechać? — zapytałam.

— Rejon Northumberland, ale dzień lub dwa chcę spędzić w Edynburgu. Nie byłaś tam jeszcze, prawda?

— Byłam. Dwa lata temu, na festiwalu. Codziennie lał deszcz.

— Nie zawsze tak jest. No, to do zobaczenia.

Nie zapomnij dać mi znać do środy.

Odjechała, a ja wróciłam do domu. Kilka minut później przyszedł mój ojciec i opowiedziałyśmy mu o wizycie i propozycji Rosie.

— No cóż, Franco — powiedział. — Zwróć uwagę na jedną rzecz — na pewno nie będziesz się nudzić. Ale, oczywiście, to musi być twoja decyzja.

Ciotka Rosie jest siostrą mojej mamy. Obecnie ma około czterdziestu lat i jest rozwiedziona. Jej małżeństwo rozpadło się, gdy miała dwadzieścia sześć lat i właśnie postanowiła zostać pisarką. Dostała pracę w magazynie dla pań. Najpierw była sekretarką, a już po roku została członkiem zespołu edytorskiego. Spotkała wtedy faceta, który niedawno zaczął wydawać magazyn podróżniczy. Był to czas, kiedy reportaże z podróży dobrze się sprzedawały w czasopiśmie i TV. Nowy magazyn powstał we właściwym momencie. Dziennikarze, którzy wchodziłi w skład zespołu redakcyjnego, są dzisiaj najbardziej wziętymi autorami książek podróżniczych. No i wkrótce Rosie przeniosła się z działu edytorskiego i zaczęła pisać samodzielne artykuły ze swoich wędrówek. Zyskały wielką popularność, szczególnie wśród młodszych czytelników. Były bowiem nie tylko interesujące, ale i dowcipne. Odkąd zajęła się tym rodzajem dziennikarstwa, nie widywaliśmy jej tak często jak wtedy, gdyż pracowała na stałe w Londynie. Dlatego też każda jej wizyta była dla nas wielką przyjemnością. Do tej pory tylko raz wyjechałam z domu na dłużej. Było to wtedy, gdy moja starsza siostra wyszła za mąż i pojechała do Kanady. Na wiosnę miałam zostać ciotką — jak na dwadzieścia cztery lata całkiem nieźle.

Zadzwoniłam do Rosie — nie pozwala mi mówić do siebie „ciociu” — w następną środę. Zaprosiła mnie do swego mieszkania w Hampstead. Czas upłynął nam na wertowaniu map i przewodników — należało zapoznać się z miejscem, do którego jechałyśmy.

Rosie uprzedziła mnie: — Muszę ci powiedzieć, Franco, że w całej mojej karierze nigdy nie udało mi się odbyć wędrówki według z góry ustalonego planu.

Wyjaśniła mi, że ma własny sposób podróżowania.

Odwiedza jedno miejsce dziennie i ogląda wszystkie interesujące rzeczy, unikając, jeśli to tylko jest możliwe, tak zwanych „turystycznych atrakcji”. Zwiedza tylko te miejsca, do których > zwykli turyści zazwyczaj nie docierają. Na przykład, omijając z daleka imponujące, wielkie katedry, wyrusza na poszukiwanie malutkich, starych, normandzkich kościołów ukrytych z dala od turystycznych szlaków. Wiele z nich przemieniło się już w ruiny, niemniej nadal są bardzo interesujące.

Jechałam z ciotką, aby pomóc jej w przepisywaniu notatek, które zamierzała zrobić. Potem we dwie miałyśmy je przejrzeć i uporządkować tematycznie. Potrafiłam stenografować i pisać na maszynie od czasu, kiedy zaczęłam pracować jako sekretarka. Dlatego też Rosie nie ukrywała, że ma zamiar wykorzystać moje umiejętności, jak tylko będzie mogła najlepiej.

Nareszcie nadszedł piątek i wyruszyliśmy do Edynburga.



## Rozdział II

Nie będę wyliczać wszystkich miejsc, które zwiedziłyśmy w czasie podróży. Ograniczę się do opisanego kilku ciekawszych miasteczek, wiosek i osad, które odegrały jakąś rolę w tej historii.

Po spędzeniu dwóch bardzo udanych (nie biorąc pod uwagę deszczu) dni w Edynburgu pojechaliśmy na południe, do Berwickon-Tweed, a stamtąd na wyspę jak z marzeń — Lindisfarne. Otoczona ze wszystkich stron morzem spoglądałam na ruiny pamiętające czasy, kiedy to do Anglii zawitali pierwsi chrześcijanie. W powietrzu wyczuwało się atmosferę pobożności i łagodności, która musiała towarzyszyć tamtym świętym mężom. Rosie prawie siłą wyciągnęła mnie stamtąd.

Według planu następnym etapem naszej podróży powinno być Kirknewton, ale w trakcie podwieczorku Rosie spojrzała na mapę i zawołała: — Och, Franco! Musimy tam pojechać! Nie mogę się oprzeć takiej uroczej nazwie.

Zaznaczyła miejscowość na mapie i pokazała mi. Yearning Bell — „Dzwon Tęsknoty” — przeczytałam.

— Czyż to nie piękna nazwa? — zapytała. Spojrzałam na nią. Powinnam była pamiętać

o upodobaniu ciotki do dziwacznych imion i nazw.

— W porządku — odpowiedziałam. — Najlepiej będzie, jeśli pojedziemy do Kirknewton. Stamtąd jest już bardzo blisko do Yearning Bell. Teraz ty pilotujesz, a ja prowadzę...

Mimo że Rose z pewnością nie jest najlepszym na świecie pilotem, wydawało mi się, że na takiej trasie nie można zabłądzić. Myliłam się, zgubiłyśmy drogę do Kirknewton i znalazłyśmy się ostatecznie na drodze wiodącej z powrotem do Wooler.

Jakiś miły człowiek, spotkany przypadkowo powiedział nam, że powinniśmy dotrzeć do Middleton, a potem jechać na północ. Wtedy właśnie zaczęła się gęsta mgła.

Nie mogłyśmy odnaleźć szosy do Middleton. Teraz ja byłam

pilotem. Skręciłyśmy na południe i nasze poszukiwania zakończyły się w tej bezludnej okolicy. Dojechałyśmy w końcu do traktu mając nadzieję, że doprowadzi nas do jakiejś normalnej szosy. Chciałam zatrzymać się i przeczekać, dopóki mgła się nie przerzedzi, ale Rosie postanowiła jechać dalej. I nasza podróż urwała się przy tym nieszczęsnym murku.

Mgła opadła nieco i po obu stronach samochodu wyłoniły się górskie zbocza.

— Obawiam się, że to jest trakt, po którym farmerzy spędzają do domów swoje owieczki — powiedziałam.

— Siedź cicho! — zdenerwowała się Rosie. Tak to mniej więcej wyglądało. Siedziałyśmy w całkowicie bezużytecznym samochodzie, pożywając się czekoladą i czekałyśmy na obcego mężczyznę, łudząc się, że pomoże nam dotrzeć do jakiegoś cywilizowanego miejsca.

— Nie jestem pewna, czy on wróci — oznajmiłam.

— Wróci na pewno — zapewniła ciotka. — Miał miłą twarz.

— Kuba Rozpruwacz też miał sympatyczną buźkę — stwierdziłam ponuro. Moje stopy robiły się lodowate.

— Nie jest łatwo przedzierać się przez mgłę i błoto — zauważyła Rosie. — Zobaczysz, że on wróci. Trzeba myśleć pozytywnie!

Ludzie bez przerwy mi to mówią, ale ja nie wiem, co to właściwie oznacza. Jeżeli to znaczy, że powinnam być optymistką, to dlaczego nie powiedzieć tego wprost.

— Zdawanie literatury angielskiej na egzaminie maturalnym powoduje, że ludzie stają się skrupulatni. Od razu wiedziałam, że nie wyjdzie ci to na dobre — odcięła się. — O, a otóż i nasz nieznamy!

Powoli z mgły wynurzył się jakiś kształt. Wsiadłam z samochodu i zobaczyłam owczarka, a za nim postać mężczyzny. Pies zaczął tańczyć w podskokach naokoło, witając się ze mną jak z niewidzianym od lat starym przyjacielem.

— Siadaj, piesku — rozkazał Martin. Snowman momentalnie się uspokoił.

— Dobra, to była świetna sztuczka — powiedziała z przekąsem.

— Ale dlaczego kulejesz?

— Potknąłem się. Skończony głupiec ze mnie — odparł. — To nic poważnego. Niestety, mam złe nowiny. W promieniu dwóch albo i więcej mil nie ma nawet śladu domów i ludzi, absolutnie nic. Przykro mi, że jestem zwiastunem złych wiadomości.

Rose wysiadła z samochodu i podeszła do nas.

— Spójrzmy na twoją nogę — zaproponowała.

— Pierwsza pomoc to moje hobby, więc możesz mi zaufać. Wsiadaj do samochodu, na tylne siedzenie, ja wyjmę z bagażnika apteczkę.

Martin wsiadł do środka. Oświetlałam latarką „pole operacyjne” podczas gdy Rose ściągała mu but i skarpetkę. Ostrożnie obmacała kostkę.

— Czy to cię boli? — zapytała.

— Boli — przytaknął.

— Myślę, że naciągnąłeś sobie ścięgno — zawyrokowała. — Noga powinna przez jakiś czas odpocząć. Potrzebne też jest prześwietlenie, ale to oczywiście będzie możliwe dopiero wtedy, gdy dostaniemy się do najbliższego szpitala.

— Dziękuję — odparł i uśmiechnął się, a ja pomyślałam, że ma bardzo miły uśmiech.

— No cóż, moi drodzy! Wszyscy będziemy musieli skorzystać z usług tego hotelu — wskazała na samochód. — Nie ma bieżącej wody ani łazienki, ale za to dysponujemy kilkoma ciepłymi kocami. Ponieważ robi się coraz zimniej, proponuję pozostać w ubrankach. Czy wszyscy się zgadzają?

— Tak jest, generale! — zawołałam. — Wyjmę z bagażnika resztę koców i poduszki.

Owinęłyśmy Martina pledem, a potem same ułożyłyśmy się na przednich siedzeniach. Snowman gdzieś zniknął.

— Może poszedł sobie? — zapytałam.

— Miejmy nadzieję — odrzekł Rose. — Dobrej nocy, dzieciaki i śpijcie mocno.

Powiedzieliśmy jej dobranoc i natychmiast zasnęliśmy.

Obudziło mnie słońce, które świeciło mi prosto w oczy. Obok mnie, cicho posapując, spała Rosie. Obejrzałam się — tylne siedzenie było puste. Przetarłam boczne okienko i wyjrzałam na zewnątrz. Martin stał przy samochodzie, oglądając szczątki roweru. Wyplątałam się z koca i wysiadłam z samochodu. Odwrócił się.

— Dzień dobry. Wypałaś się? — zapytał.

— Całkiem dobrze — odparłam — A ty?

— Całkiem dobrze — odpowiedział i jednocześnie wybuchliśmy śmiechem.

— Wydawało mi się, że słyszę szczekanie psa — powiedziałam. — Tylko mi nie mów, że Snowman nie wrócił!

— Wątpię, żeby w ogóle miał zamiar odchodzić. Kiedy wysiadłem z samochodu, siedział niedaleko ogrodzenia. Prawdopodobnie spędził tam noc.

Pies podszedł i machając ogonem spojrzał na mnie.

— Dlaczego taki olbrzymi pies ma taki króciutki ogonek? — zdziwiłam się.

— Naprawdę nie wiem. Po urodzeniu niektórym psom obcina się ogony. Myślę, że na tych terenach pomaga to odróżnić, z której farmy pochodzą.

— Według mnie, to jest okrutne — stwierdziłam. — Ale nie będę się sprzeczać. Jest bardzo posłuszny, prawda? Ciekawa jestem, skąd się tu wziął. Ktoś musiał go nieźle wyszkolić.

— Może policja będzie coś wiedzieć — odparł Martin. — Aha, jeżeli chcesz się umyć, to niedaleko, jakieś sto jardów stąd, płynie niewielki strumyk. Woda jest zimna, ale czysta; obaj z psem zrobiliśmy z niej użytek.

— Hm... No cóż, zaryzykuję zapalenie płuc i pójdę się umyć. Prawda, że teraz, kiedy opadła mgła, ta okolica wygląda cudownie?

— To przepiękny region — potwierdził.

— Znasz te strony?

— Mój ojciec urodził się w Kirknewton. Spędzałem tu, u mojego dziadka, każde wakacje. Ojciec uczył mnie wspinać się po górach.

W tym momencie zaspana Rosie wygramoliła się z samochodu.

— Dzień dobry, moi drodzy! Jak tam twoja kostka, Martin?

— Trochę spuchnięta, ale nie boli już tak bardzo. Obmyłem ją w strumyku. Przyznam się, że wymagało to trochę samozaparcia.

— Idę się myć — oznajmiłam.

Zabrałam ręcznik, mydło i szczoteczkę do zębów i zesłam w dół do strumyka. Pies chciał biec za mną, ale Martin kazał mu zostać. Posłuchał.

Kiedy odchodziłam, Rosie zwróciła się do Martina.

— Usiądź tutaj, na stopniu. Obejrzę twoją kostkę. — Chłopak robił wszystko co mógł, aby nie pokazać po sobie, że coś go boli.

Po moim powrocie poderwała się: — Teraz kolej na mnie. A kiedy wrócę, odbędziemy naradę.

Narada odbyła się w samochodzie. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że któreś z nas musi wyruszyć na poszukiwanie najbliższej osady i po pierwsze zadzwonić po pomoc drogową, a po drugie kupić trochę jedzenia.

— Ja pójdę — zaproponowałam. — Martin przecież nie może chodzić, to znaczy, nie aż tak daleko. A ty, Rosie, jesteś potrzebna tutaj. Musisz się nim opiekować. Ostatecznie, jeśli z jego nogą będzie gorzej, nie będę miała pojęcia, co zrobić.

— W porządku. Tylko uważaj na siebie.

— Oczywiście, moja droga — uspokoiłam ją.

— Miasteczko nie powinno być dalej niż cztery mile stąd. Może nawet trochę bliżej — stwierdził Martin.

— I nie zapomnij powiedzieć tym z pomocy drogowej, że potrzebujemy nowego samochodu! — zawołała za mną Rosie.

Pomachałam ręką dając znak, że słyszałam i rozpoczęłam wędrówkę do Lillington.

Nie mam pojęcia jak daleko było do miasteczka od miejsca naszego nocnego obozowiska, ale sama podróż do Lillington zajęła mi przeszło

godzinę! Trakt doprowadził mnie do całkiem przyzwoitej drogi. Tu już wędrowanie stało się znacznie przyjemniejsze.

Miasteczko było prawie puste. Znalazłam budkę telefoniczną i zadzwoniłam po pomoc drogową. Obiecali przyjechać najszybciej, jak będą mogli i poprosili, żebym przyszła do garażu na Grange Street, obejrzeć samochód do wynajęcia.

— Powiniennem być tam za mniej więcej pół godziny — obiecał na zakończenie głos w słuchawce.

Następne dwadzieścia minut spędziłam w uroczym, pachnącym świeżym chlebem sklepiu. Kupiłam masło, pieczywo, szynkę, pomarańcze, jabłka, sok owocowy i olbrzymią puszkę jedzenia dla psa. Potem powędrowałam do garażu i zastałam tam pracownika pomocy drogowej — właśnie nadjechał.

Jakiś czas później wsiałam już do polecanego > mi przez niego Citroëna. Kiedy powiedziałam, że muszę mieć dużo miejsca na tylnym siedzeniu, bo wiozę ze sobą ogromnego owczarka, oznajmił: — Chciałbym go zobaczyć! To moja ulubiona rasa. Możesz ruszać, ja pojedę za tobą.

Kiedy dojeżdżaliśmy, Rosie i Martin siedzieli na słońcu i gawędzili. Snowman leżał u ich stóp. Na mój widok zerwał się i podbiegł, radośnie merdając ogonem. Natomiast z mężczyzną przywitał się, jakby znali się od dawna. Pomyślałam, że chyba nie nadaje się na dobrego stróża — był po prostu zbyt przyjacielski.

Wypakowałam jedzenie, a Martin tymczasem rozłożył stolik turystyczny, który znalazł w bagażniku. Mechanik poszedł obejrzeć miejsce katastrofy. Po dokonanej inspekcji oznajmił, że musi zabrać samochód ze sobą.

— Trzeba będzie nad nim sporo popracować, ale wygląda na to, że da się go naprawić — stwierdził.

— Całe szczęście! — ucieszyła się Rosie. — Uwielbiam moje auto. A co z rowerem?

— Obawiam się, że trzeba go spisać na straty.

— No cóż, wielka szkoda — westchnęła. — Właśnie zamierzaliśmy zrobić śniadanie. Może zje pan z nami?

— Nie, dziękuję. Muszę wracać.

— Przy okazji, jeśli remont zajmie panu ponad dwa tygodnie, proszę dać mi znać. Jeszcze raz bardzo dziękuję za pomoc — powiedziała.

— To moja praca — odparł.

Poklepał po głowie psa mówiąc, że jest uroczy i odjechał.

No, do jedzenia! — zakomenderowała ciotka.

Pół godziny później byliśmy już po śniadaniu i Martin zaczął opowiadać nam o swojej pracy. Opracowywał programy komputerowe dla wielkich koncernów elektronicznych, mieszkał w Oksfordzie. Okazało się, że ma siostrę, która wyszła za mąż i przeniosła się do Kanady.

Zdumiona zawołałam: — Niemożliwe, co za zbieg okoliczności! Ja też mam siostrę, która mieszka w Kanadzie! W Montrealu! A twoja?

— W Albercie — odparł. — To kawał drogi do Montrealu. Dlaczego twoja ciocia nazywa ciebie Franco?

— To długa historia.

— Proszę, opowiedz mi ją. Rosie przerwała nam.

— Posprzątam tu, zanim przyjedzie pomoc drogowa. A ty, Martin, pospaceruj trochę i wypróbuj swoją kostkę. Franco, idź z nim na wypadek, gdyby potrzebował pomocnej dłoni. I zabierzcie ze sobą to zwierzę!

— Chodź, potworze! — zawołałam.

Dałam psu jeść, a on połknął wszystko w pół minuty i tylko patrzył, czy nie ma więcej, Dostał trochę naszej szynki, ale wciąż rozglądał się, czy przypadkiem czegoś jeszcze nie znajdzie. My tymczasem ruszyliśmy wolnym krokiem.

— Może złapie królika i zje go na deser. Martin roześmiał się.

— Jestem pewny, że tak nie myślisz.

— Masz rację. Chociaż gdyby dopadł jakiegoś, wątpię, czy zdążylibyśmy go uratować.

Zatrzymał się i rozejrzał dookoła.

— Bardzo tu pięknie, prawda? — powiedział. Patrzyłam razem z nim na pola i wzgórze.

— Tak, to zachwycające! Chciałabym wspiąć się na szczyt jednej z tych gór.

— Lubisz wspinaczkę?

— Bardzo! Oczywiście, nie mam na myśli lin, haków i tym podobnych rzeczy, tylko zwykłe wspinanie.

— Żałuję, że potknąłem się o tę króliczą norę. Gdyby nie to, wspięlibyśmy się na najwyższą z tych gór. Rozciąga się stamtąd cudowny widok.

— Mogłabym patrzeć na góry w nieskończoność...

— Ja też. Usiadźmy na tej skale, jest prawie sucha.

Zdjął marynarkę i rozłożył ją na kamieniu obok strumyka. Usiedliśmy. Nie było zbyt wiele miejsca, ale nie zaprzętałam sobie tym głowy.

— Jak tam twoja kostka? — zapytałam. — Wydaje mi się, że trochę spuchła. Myślę, że nie powinieneś zbyt długo spacerować. Może mógłbyś wrócić na grzbiecie Snowmana?

Zaśmiał się.

— Chcesz, żebym go zajeździł? Mojej kostce nic nie będzie. Zdarzały mi się gorsze rzeczy podczas gry w rugby.

— O, grasz w rugby? Mój ojciec jest zagorzałym kibicem! Wychował się w Szkocji i grał tam w drużynie szkolnej. Jest w połowie Szkotem. Mój dziadek ożenił się ze Szkotką, rzucił dla niej zawód inżyniera i osiadł na farmie.

— Czym zajmuje się twój ojciec?

- Jest księgowym. Moja mama była nauczycielką, spotkał ją w szkole, w której uczyła. Czy to nie zabawne, w jak dziwny sposób ludzie się poznają?

— To zależy — odparł.

Kątem oka zauważyłam, że mi się przygląda. W tym momencie



usłyszeliśmy nadjeżdżającą ciężarówkę — najprawdopodobniej była to pomoc drogowa.

— Lepiej wracajmy — wstał, krzywiąc się z bólu.

Udawałam, że tego nie widzę, chociaż bardzo chciałam, żeby poprosił mnie o pomoc.

— A jak ty zarabiasz na życie? — zapytał, kiedy wracaliśmy.

— Tylko się nie śmieję! Pracuję w ministerstwie w administracji.

— Dlaczego miałbym się śmiać? Mój ojciec pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. A czym konkretnie się zajmujesz?

— Starożytne budynki i stare relikwie.

— W Londynie?

— Tak, na Fielder Street. Wstąp kiedyś, to pokażę ci trochę staroci. Pracuję dla jednej z nich. Ma około stu lat i nie może nigdy zapamiętać, gdzie co położył. Spędzam pół dnia na porządkowaniu jego rzeczy, mówię ci!

Wybuchnął śmiechem.

— Więc mieszkasz w Londynie? — spytał.

— Nie, w Twickenham.

— Podobno z każdego okna widać tam boisko i można oglądać mecze rugby?

— Obawiam się, że w moim przypadku nie jest to takie proste. Muszę co najmniej wyjść z domu.

Wróciliśmy na miejsce wypadku. Byli tam już pracownicy pomocy drogowej. Próbowali umieścić nasze volvo na specjalnej przyczepie. Rosie podpisywała jakiś formularz. Przystanęliśmy za jej plecami i przyglądaliśmy się całej operacji, a później, gdy odjeżdżali, patrzyliśmy za nimi. Ogromna ciężarówka odcisnęła w błocie wyraźne, głębokie koleiny.

Rosie pierwsza przerwała milczenie.

— No cóż, ruszajmy stąd, dzieciaki. Martin, martwiłam się o ciebie! Wydaje mi się, że twoja kostka wygląda coraz gorzej. Popatrz na tę opuchliznę. Najlepiej będzie, jeżeli jak najszybciej pójdziesz do lekarza.

— Dziękuję, pani Champion, ale nie potrzebuję lekarza z powodu byle zwichnięcia — odparł.

— Oczywiście, że potrzebujesz! Chodź tu, lepiej będzie, jeśli usiądziesz obok mnie. Franco, ty i pies siadacie z tyłu. Zajmiesz mniej miejsca niż Martin.

Nasz następny postój wypadł w Allenham — małej wiosce, położonej wśród zielonych wzgórz otoczonej kwiecistymi żywopłotami. Po dotarciu na miejsce poszliśmy od razu do pierwszej napotkanej restauracji i po raz pierwszy od ponad dwudziestu czterech godzin zjedliśmy przyzwoity posiłek.

Rosie zapytała kelnerkę, czy jest tu gdzieś niedaleko szpital. W osadzie, jak się okazało, była jednak tylko mała przychodnia.

— Lekarza nie będzie przed czwartą — uprzedziła kelnerka.

— W takim razie siądziemy na najbliższej zielonej łące i będziemy podziwiać krajobrazy — westchnęła.

Skończyło się jednak na tym, że usiedliśmy na ławce przed pubem i przyglądając się przechodniom zajadaliśmy lody. Za dziesięć czwarta zameldowaliśmy się już przed przychodnią. Była otwarta. Przed nami w kolejce czekał tylko mały chłopczyk, nadzorowany przez swoją mamę.

Po skończonym badaniu Martin wraz z lekarzem wyszli z gabinetu. Podniosłyśmy się z ławki, kiedy do nas podchodzili.

— Pan Heaton powinien zrobić prześwietlenie kostki, jeśli chce mieć pewność, że żadna kość nie została uszkodzona. Szczególnie, że upadł na kamienie. Jeżeli wypiszę skierowanie, czy zawiozą go panie do szpitala w Hamwicht?

— Oczywiście — zapewniła Rosie. — Jestem jego ciotką.

— W porządku. Proszę poczekać tutaj przez chwilę, a ja pójde i wypiszę skierowanie.

Po odejściu lekarza Martin zawołał:

— Pani Champion, nie lubię, kiedy ktoś podejmuje za mnie decyzje!

Rosie przerwała mu.

— Bądź dobrym chłopcem i nie kłóć się ze mną! I tak musisz mi

obietac, że kiedy już kupię ci nowy rower, nie stracisz nogi prowadzącego. Proszę cię, Martin! Czy chcesz, żebym się zamartwiała przez cały następny tydzień? Nie będę mogła zasnąć na myśl, że leżysz gdzieś pośród wzgórz, z dala od ludzi i nie możesz zrobić nawet kroku! Już widzę śnieg, który cię powoli przysypuje...

Martin uśmiechnął się.

— W porządku. Poddaję się — powiedział.

Szpital znajdował się w odległości dziesięciu mil od Allenham. Spędziłyśmy w poczekalni całe wieki, przeglądając stare magazyny. Z nudów przychodziły mi do głowy niestworzone rzeczy. Wyobrażałam sobie, że jestem szpiegiem, a później spacerowałam po korytarzach odgadując na co cierpią chorzy w poczekalni.

Po pół godzinie zapytałam: — Co zrobimy, jeżeli on tu będzie musiał zostać? Powinniśmy chyba zawiadomić jego rodziców czy coś w tym rodzaju...

— Nie sądzę, by było z nim aż tak źle. Chociaż nie powiedział nam o tym upadku na kamienie. Myślę, że dolega mu jeszcze coś, poza zwichnięciem. Czasami mężczyźni są zupełnie nieobliczalni. Kiedy taki złapie lekkie przeziębienie, można by pomyśleć, że umiera na zapalenie płuc, tyle robi zamieszania, ale gdy wydarzy się coś naprawdę złego, wtedy ci mówi, że nic się nie stało i żeby się nie martwić. Bardzo zabawne.

— Tak, masz rację.

— Wciąż czuję się winna, Franco — wyznała Rosie. — Gdyby nie ja, Martin byłby już tam dokąd się wybierał.

— To nie była twoja wina, ale Snowmana — odparłam. — Właśnie myślę, że lepiej będzie, jeśli wyjdę na zewnątrz i rzucę na niego okiem.

Nie, tym razem ja pójdę. Jeżeli wyjdzie Martin z lekarzem, poproś ich, żeby na mnie poczekali.

Poszła na parking. Ja tymczasem obserwowałam lekarza, wędrującego samotnie wśród czekających w poczekalni pacjentów i próbowałam wyobrazić sobie jakąś historię z nim w roli głównej.

Martin pojawił się po następnych trzydziestu minutach. Wyszedł w towarzystwie mężczyzny w białym fartuchu.

— Kości nie zostały uszkodzone — oświadczył lekarz. — Pani...?

— Champion — przedstawiła się Rosie. — Bardzo mnie to cieszy! Czy będzie mógł chodzić, czy może powinien dać odpocząć nodze?

— Trzeba będzie oszczędzać stopę do czasu, gdy zejdzie opuchlizna. Noga może trochę boleć, ale tabletki aspiryny powinna temu zaradzić.

— A co z jazdą na rowerze?

— Rower? — Mężczyzna uśmiechnął się. — Jazdy na rowerze nie zalecałbym w żadnym razie. To dotyczy także prowadzenia samochodu. No, chyba że byłby to wóz z automatyczną przekładnią biegów. Czy zamierza pan podróżować rowerem, panie Heaton?

— Oczywiście, że nie! — zaprotestowała Rosie. — Proszę się nie obawiać, dopilnuję tego, doktorze! Jak pan myśli, kiedy zejdzie ta opuchlizna? Za tydzień?

— Coś koło tego. Proszę obserwować nogę. Byłoby dość ryzykowne zbytnio ją nadwierać. Zwichnięcia mogą się komplikować. No cóż, zostawiam pana w pani rękach — dodał na koniec.

— Idziemy! — zakomenderowała ciotka, gdy lekarz odszedł. — Marzę o filiżance herbaty!

Przez całą drogę do Allenham Martin nie odezwał się ani słowem.

Jedliśmy podwieczorek w tej samej restauracji, w której byliśmy rano. Tym razem dostaliśmy ciastka, placuszki i kanapki z szynką. Martin nalegał, żeby za nas zapłacić.

— Posłuchaj — zwróciła się doń Rosie, kiedy szliśmy do samochodu. — Mamy zarezerwowane pokoje w hotelu Millbank w Alwinham, jakieś pięć mil stąd. Może chciałbyś zatrzymać się tam albo może wolisz, żebym cię gdzieś zawiozła? Słyszałeś przecież, co powiedział lekarz! Jesteś pod moją opieką. Nie mogę pozwolić ci odjechać na rowerze. Kupię ci oczywiście nowy, ale dopiero wtedy, gdy z twoją nogą będzie lepiej. No więc, co postanowiłeś? Dokąd zmierzałeś, gdy się spotkaliśmy? Czy może tam mam cię zawieźć?

— Jechałem do Kirknewton. Chcieliśmy powłóczyć się po górach z moim kuzynem, ale w takim stanie, w jakim jestem teraz, nie mam po co jechać. Muszę tylko do niego zadzwonić i powiedzieć mu, co się stało. Zatelefonuję też do rodziców, mogliby się martwić, gdyby dowiedzieli się, że jeszcze nie dotarłem na miejsce.

— W takim razie najlepiej będzie, jeżeli zadzwonisz z hotelu — zdecydowała Rosie. — Dzięki temu będziemy pewne, że nie będziesz za dużo spacerować. Co ty na to?

— Może nie być wolnych miejsc w waszym hotelu...

— Zadzwonimy tam najpierw. Zastanów się teraz, zanim Snowman się obudzi, bo potem będzie chciał iść na spacer.

— W porządku. Zgadzam się. Jadę z wami — oświadczył po namyśle.

— Dobrze. Więc ruszajmy. Franco, postaraj się nie obudzić naszego pieska.

Rosie zatrzymała samochód przy budce telefonicznej. Zadzwoniła do hotelu i okazało się, że znajdzie się tam wolny pokój. Do Alwinham pojechaliśmy razem, ku mojemu wielkiemu zadowoleniu, bowiem nagle zakochałam się w Martinie. To uczucie spadło na mnie zupełnie nieoczekiwanie.

Przed obiadem spotkaliśmy się w barze.

— Mam nadzieję, że mnie stąd nie wyrzucą za brak krawata — uśmiechnął się Martin.

— Lepiej, żeby tak się nie stało — odparła Rosie. — Bo w tutejszym sklepie znajdziesz tylko okropny kawałek czegoś, co tylko ludzie pozbawieni smaku mogą nazywać krawatem. A jak twoja noga?

— Całkiem nieźle — odpowiedział. — Co mam zamówić, dziewczęta?

— Dwa razy dzin z tonikiem — poprosiła Rosie. Popijaliśmy drinki, rozmawiając o tym i owym.

— Zadzwoniłeś do rodziców, Martin? — zapytała Rosie.

— Nie. Chyba linia jest uszkodzona. Nie ma sygnału, tylko jakies

dziwne buczenie. W centrali powiedziano mi, że jest awaria, ale że nie potrwa to długo, bo właśnie ją usuwają. Zatelefonowałem też do Denisa, mojego kuzyna i oznajmiłem mu, że naszą wspinaczkę będziemy musieli odłożyć na później.

— Na którą górę zamierzaliście się wspinać? — zapytała Rosie.

— Boję ci się to powiedzieć.

— No już, mów!

— Yearning Bell. „Dzwon Tęsknoty”

— Co? Czy to znaczy, że miejsce, którego szukałyśmy to góra?

— No cóż... właśnie tak — odparł.

Rosie śmiała się tak bardzo, że aż łzy pociekły jej z oczu.

— Góra! O Boże! — wykrzyknęła. — Wyszły-byśmy na idiotki pytając o drogę do miasta o tej nazwie! Czy ona jest bardzo stroma, Martin?

— Dopiero przy samym szczycie.

— Czy to ta, którą pokazywałeś mi dzisiaj rano? — zapytałam.

— Nie. Tamta to była góra Cheviot, w całej swej krasie. Wspinaczka na nią miejscami bardzo niebezpieczna. Jest tam wiele stromizn i nagłych uskoków. Cheviot to w pewnym sensie wyzwanie, dlatego tak ją lubię. Jednak moją ulubioną górą jest Yearning Bell, bo tam uczyłem się wspinać z moim ojcem. Mój dziadek mieszkał w Kirknewton. Przyjeżdżaliśmy do niego latem, kiedy byłem mały. Ale zmarł dwa lata temu, a niedługo później w zeszłym roku babcia. Denis jest synem starszego brata mojego taty, który zginął w czasie wojny. Ma tu gospodarstwo. Ale nie będę was zanudzać opowieściami o mojej rodzinie.

— Ależ nie, opowiadaj! — zachęciła go Rosie.

— Lepiej pójdę i spróbuję znowu zadzwonić — odparł Martin i wyszedł z sali.

— Coraz bardziej lubię tego młodego człowieka, a ty? — zapytała Rosie.

W tym momencie podszedł kelner i oznajmił, że obiad jest już

gotowy. Powiedziałyśmy, że poczekamy na naszego przyjaciela, ale właśnie w tej chwili Martin pojawił się przy nas.

— Połączenie jest w dalszym ciągu przerwane — oznajmił. — Spróbuję jeszcze raz po obiedzie.

Zjedliśmy cudowny obiad. Piliśmy białe wino i wesoło rozmawialiśmy. Rosie rozśmieszała nas historyjkami ze swoich podróży. Po posiłku Martin zaproponował spacer nad rzekę.

— Czuję się tak, jakbym cały dzisiejszy dzień spędził zamknięty w szpitalach i przychodniach — stwierdził.

— Idźcie sami — zaproponowała Rosie. — Ja kładę się spać. Zobaczymy się rano.

Poszliśmy nad rzekę. Spacerowaliśmy wzdłuż jej brzegów milcząc i rozmawiając na przemian. Powietrze było rześkie. W górze świecił księżyc.

— Nie możemy iść zbyt szybko ze względu na twoją kostkę — powstrzymywałam go.

— Czuję się świetnie, nie obawiaj się o mnie. Wziął mnie za rękę. Nagle zrozumiałam, że on czuje do mnie to, co ja do niego.

Wracaliśmy już, gdy nagle zatrzymał się.

— Frances — powiedział.

— Słucham.

— Jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę wiedzieć.

— Co takiego? Może — dlaczego Rosie nazywa mnie Franco?

— Czy jest ktoś w twoim życiu? — spytał, jakby nie słyszał mojego żartu.

— Nie.

— Moja Frances — szepnęła i wzięła mnie w ramiona.

Odprowadził mnie do drzwi sypialni.

— Zobaczymy się jutro rano.

— Tak — odparłam.

— W takim razie — dobranoc.

— Dobranoc.

Kiedy odchodził, zawołałam za nim.

— Martin! nie zadzwoniłeś jeszcze do domu, pamiętasz?

— A niech to! Zapomniałem! Zadzwonię z mojego pokoju. Dobranoc. — I dodał ciszej: Spij dobrze, kochanie.

Wynajęliśmy dwuosobowy pokój z łazienką. Wsunęłam się do niego cichutko, wzięłam kąpiel i umyłam zęby. Staralam się nie robić hałasu, aby nie obudzić Rosie, jednak kiedy wróciłam do pokoju, siedziała na łóżku. Nocna lampka była zapalona.

— Jak mi przykro! Obudziłam cię?

— Nie, czekałam na ciebie. Nie masz mi czasem czegoś do powiedzenia?

— Chodzi ci o Martina?

— Oczywiście, że o niego, Franco. Znasz go dopiero od dwóch dni! Czy jesteś pewna?

— Pewna czego? — zapytałam, kładąc się do łóżka.

— Powinnaś zobaczyć swoją twarz, dosłownie płonie! A co z Martinem? Zobaczyłam ten ogień i w jego oczach, ale nie byłam pewna, co do niego czujesz. Teraz już wiem. Jest sympatycznym mężczyzną, Franco. Chodź tutaj i pocałuj mnie na dobranoc.

— Och, Rosie! Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa! — wykrzyknęłam, ucałowawszy ciotkę i wróciwszy do łóżka. Usiadłam, podciągnęłam kolana pod brodę i dodałam: — Nie zasnę dzisiejszej nocy.

— No cóż, ja tam zamierzam spać — oznajmiła. — Połóż się i pomyśl o czymś poważnym, wtedy na pewno poczujesz się senna. Wiesz, cały czas nie mogę przestać myśleć o Snowmanie. Czy ja aby dobrze zrobiłam, Franco?

— Oczywiście, że tak. Na pewno znaleźli już jego właściciela. Ten miły sierżant powiedział mi, że nie sprawi to kłopotu, bo w okolicy nie ma zbyt wielu psów tej rasy. Będzie mu lepiej u siebie, zapewniam cię.

— Właśnie myślałam o tym, żeby go zatrzymać.

— Daj spokój, Rosie. Tak naprawdę wcale nie chcesz mieć psa. Nie



mam racji? Większość czasu spędzasz poza domem, często wyjeżdżasz za granicę. Dla niego to nie byłoby miłe.

— Masz zupełną rację, kochanie. Dobrze, że mi przypomniałaś o tym wszystkim. Teraz zasnę ze spokojnym sumieniem.

RS

### Rozdział III

Następnego ranka ocknęłam się pierwsza. Znowu obudziły mnie promienie słońca, tak jak wtedy, gdy spaliśmy w rozbitym samochodzie. Wstałam, wzięłam prysznic i ubrałam się. Była dopiero ósma rano, więc pomyślałam sobie, że wyjdę na świeże powietrze i tam poczekam na Martina i Rose. Moja ciocia nie jest rannym ptaszkiem. Często powtarza, że im później wstaje, tym lepiej stawia czoła światu.

W jadalni nie było nikogo, więc poszłam do ogródka znajdującego się przed hotelem. Wśród rosnących tam drzew i kwiatów poustawiano krzesła i ławki. Usiadłam na jednej z nich i wkrótce przyłączył się do mnie duży, czarny kot. Siedzieliśmy tak razem, wygrzewając się na słońcu. Głaskałam go, a on przyjemnie mruczał.

Wkrótce usłyszałam, że Rosie woła mnie ze schodów. Pożegnałam się z kotem i poszłam do hotelu. Ciotka trzymała w ręku list. Przyspieszyłam kroku — to mogły być wiadomości z domu.

— Co to jest? — zapytałam, podchodząc do niej.

— Wszystko w porządku, Franco — odparła. — To wiadomość od Martina. Wejdzmy do środka.

Zamówiła śniadanie i dopiero wtedy podała mi list.

— Wszystko w swoim czasie — powiedziała. Zaczęłam czytać:  
„Pani Champion, Franco.

Bardzo mi przykro, ale muszę natychmiast wyjechać. Kłopoty rodzinne. Z moim ojcem jest źle. Wyjeżdżam pociągiem do Newcastle dziś w nocy. Nie jestem w stanie podziękować Wam za życzliwość i za to, że mogłem w waszym towarzystwie tak przyjemnie spędzić ostatnie dwa dni.

Dołączę do Was tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

Martin.”

Oddałam list Rosie.

— Musiał dodzwonić się do domu wczorajszej nocy — stwierdziłam. — Przypomniałam mu, żeby zatelefonował do matki. No

cóż, mam nadzieję, że jego ojciec nie jest poważnie chory. Biedny Martin! Najpierw zwichnięta kostka, a teraz to!

Przyniesiono nam śniadanie, więc zajęliśmy się nim czym prędzej. Staralam się pozbyć uczucia osamotnienia. Cóż za zmienność nastrojów dzisiejszego ranka! Myślałam o nas tam, w ogrodzie, pośród kwiatów, a teraz znów byłam sama. W końcu powiedziałam sobie w duchu: dość tego jęczenia i całą uwagę skupiłam na śniadaniu. Jednocześnie starałam się zająć tym, co mówiła Rosie o naszej dalszej wędrówce. Naszym następnym celem było Kielder Forest.

Kiedy wychodziłyśmy z jadalni, podszedł do nas recepcjonista.

— Ktoś czeka na panią w hallu, pani Champion.

Poszłyśmy tam razem. W korytarzu czekał na nas policjant w towarzystwie Snowmana.

— Pani Champion? — zapytał, starając się jednocześnie powstrzymać Snowmana od skakania naokoło nas. Pies był na smyczy i to ułatwiało policjantowi poskromienie go.

— To ja — odpowiedziała Rosie.

— Sierżant Ridly z tutejszego posterunku. To pani przyprowadziła do nas tego psa wczoraj wieczorem?

— Zgadza się. Znaleźliście jego właściciela, sierżancie?

— Niestety nie, pani Champion. Skontaktowaliśmy się ze wszystkimi posterunkami w tej okolicy, ale nie zaginął żaden owczarek. Problem w tym, że my nie możemy trzymać psa na posterunku dłużej niż jeden dzień.

— Rozumiem. Czy jest tu gdzieś w okolicy jakieś schronisko dla psów, gdzie mógłby pozostać do czasu, gdy znajdzie się jego właściciel?

— Wszystkie są przepełnione. Nie ma żadnego, w którym znalazłoby się miejsce choćby dla jeszcze jednego kota, nie mówiąc już o dużym psie, proszę pani.

— Czy próbowaliście pytać lokalnych weterynarzy? Może oni coś wiedzą?

— Skontaktowaliśmy się ze wszystkimi weterynarzami. Właśnie

jeden z nich dał nam tę smycz. Żaden nigdy nie widział tego psa ani też nie słyszał o jego zaginięciu. Ściśle mówiąc, nie słyszeli o żadnym owczarku w tej okolicy.

— Więc co pan proponuje, sierżancie? Może powinniśmy zamieścić ogłoszenia w miejscowych gazetach? Pies przecież musi do kogoś należeć!

— Może pani spróbować, ale wydaje mi się, że gdyby właściciel chciał odnaleźć psa, to zgłosiłby jego zaginięcie na najbliższym posterunku policji.

Niestety, pani Campion, bardzo możliwe, że właściciel zmarł, a pies uciekł. Czasami to się zdarza. Wygląda na to, że ten pies musiał przybłąkać się z bardzo odległej okolicy. Kłopot w tym, że nie mamy gdzie go trzymać.

— Na obroży był jakiś napis. Nie mogliśmy dokładnie go odczytać, ale ostatnie litery tworzyły słowo podobne do „wistle” Może to jest klucz?

— Jest wiele nazw, które kończą się na „wistle” — odparł policjant. — Próbowaliśmy w Calyard Moss, ale tam też nic nie słyszeli o tym psie.

— Calyard Moss? A gdzie to jest?

— To niedaleko miejsca, w którym go pani znalazła.

— Ach, tak. Nie znałam tej nazwy. Pan chce, żebym zabrała tego psa?

— Pani Campion, muszę pani powiedzieć, że jeżeli go pani nie zechce, zostanie uśpiony.

— Wielkie nieba, nie! Przecież to całkiem młody pies! A może się mylę?

— Weterynarz twierdzi, że ma około czterech, pięciu lat. Poza tym umył go, odpchlił i wycesał mu sierść. Sam by go zabrał, ale ma już dwa teriery i jednego charta wyścigowego. Jaka jest pani decyzja? Czy mam go zabrać z powrotem do weterynarza, czy tu zostawić?

— Chce pan psa zawieźć do weterynarza, żeby go uśpił? Jeżeli tak, to oczywiście nie zgadzam się! Wezmę go.

Chodź do mnie, potworze! — zawołała Rosie, a sierżant podał jej smycz.

— Przez tego pieska rozbiłam sobie samochód — dodała, próbując powstrzymać Snowmana od wspinania się na nią.

— Słyszałem o tym wypadku, pani Champion.

Bardzo mi przykro z tego powodu. No cóż, muszę już iść.

Zasalutował Rosie, skinął głową w moim kierunku i skierował się do wyjścia.

— Chwileczkę — zawołała za nim. — Czy mógłby mi pan dać adres tego weterynarza, który sprezentował smycz i doprowadził psa do porządku?

— Oczywiście — odparł. Wyjął notes, zapisał na kartce adres i podał ciotce. W tym czasie Snowman próbował owinać się smyczą, więc mu ją odebrałam. Sierżant uśmiechnął się, dotknął znowu swego kapelusza i odszedł.

— Powinnam przewidzieć, że to nie było nasze ostatnie spotkanie z tym zwierzęciem — westchnęła Rosie, próbując strząsnąć z siebie Snowmana. — Muszę przyznać, że wygląda bardzo przystojnie z czystym futerkiem. Franco, czy możesz go powstrzymać? Ja w tym czasie pójdę i spakuję nasze bagaże. Psy nie są mile widziane w hotelach. Zapłacę rachunek i spotkamy się w samochodzie. Lepiej zabierz go do ogrodu. W tym momencie podszedł do nas właściciel hotelu. Nie zdążył jednak nawet otworzyć ust, aby nas poinformować, że wprowadzanie psów jest zabronione, gdyż Rosie uprzedziła go.

— Właśnie wyjeżdżamy. Czy może pan przygotować rachunek i przysłać kogoś na górę po nasze bagaże? Moja siostrzenica potrzebuje psa w ogrodzie.

— Dobrze, pani Champion — skinął głową. Ciotka poszła na górę. Recepcjonistka, młoda atrakcyjna dziewczyna o kruczoczarnych włosach, podeszła do mnie.

— Jest piękny, prawda? — poklepała psa. — Cieszę się, że go znalazłyście.

— To raczej on znalazł nas — odparłam. Roześmiała się.

— Jak się wabi? — zapytała.

— Nieznośnie Bałwanisko.

Rozbawiona poszła przygotować nasz rachunek.

Weterynarz mieszkał w sąsiednim miasteczku o nazwie Lea Moss. W poczekalni siedziały już dwa koty i mały terrier w towarzystwie zatroskanych właścicieli. Snowman posłusznie usiadł i przez cały czas, kiedy czekałyśmy na swoją kolejkę, zachowywał się bardzo grzecznie. Właśnie miałyśmy wejść do gabinetu, gdy pojawiły się dwa nowe psy. Jednym z nich był piękny chart. Snowman ledwie raczył na niego spojrzeć.

Doktor miał rude włosy i mocny, irlandzki akcent. Nazywał się John Delaney, był wysoki i szczupły. Pies swoim zwyczajem skakał wokół niego i o mały włos byłby go przewrócił. Weterynarz kazał Snowmanowi usiąść, a ten od razu go posłuchał. Następnie zwrócił się do Rosie.

— Pani Champion, prawda?

Podali sobie ręce. Potem Rosie przedstawiła nas sobie.

— Cieszę się, że zdecydowała się pani go zatrzymać. Sierżant już dzwonił do mnie. Nie mogłem znieść myśli, że musiałbym go uśpić. Próbowałem znaleźć dla niego właściciela, ale bez skutku. Niewielu ludzi trzyma takie psy w domu — są zbyt duże, chociaż bardzo posłuszne.

Na pewno to pani zauważyła. Ten został bardzo dobrze wyszkolony.

— To prawda. Słucha wszystkich poleceń — potwierdziła Rosie. — Ale dlaczego uciekł?

— Możliwe, że jego pan umarł — odparł lekarz. — Czasami w takich okolicznościach psy reagują ucieczką. Są bardzo przyjacielskie i karne, ale lepiej je trzymać z dala od owiec. Gdy znajdą się blisko stada, odzywa się w nich „pasterski instynkt” i są gotowe bronić ich za wszelką cenę. Ten pies jest trochę za mały jak na swoją rasę.

— Przyszłam tu, bo nie znam się na psach, no, może poza paroma informacjami o pewnym potworze — powiedziała Rosie. — Czy mógłby

mi pan dać parę wskazówek? Czym go karmić i tym podobne?

Weterynarz uśmiechnął się i podał jej broszurkę liczącą około dwudziestu stron.

— Tu jest wszystko o tej rasie. Różne jej odmiany, karmienie, trening, po prostu wszystko. — Następnie wyjął z szuflady kartkę papieru. — A tu jest coś, co przygotowałem specjalnie dla pani; informacje, których nie znajdzie pani w ulotce. Parę sugestii — jak z nim postępować — jak się zachowuje, rzeczy, które lubi lub nie, i tym podobne.

Ciotka wzięła kartki i przejrzała je.

- Pan przygotował je dla mnie! — zdumiała się.

— No cóż, bardzo chciałem, żeby pani go zatrzymała — odparł, patrząc na nią swymi brązowymi oczyma.

— Bardzo panu dziękuję — odpowiedziała. — To bardzo miłe z pana strony.

— Cała przyjemność po mojej stronie, pani Champion.

Przypomniał mi się artykuł, który niedawno przeczytałam w gazecie. Napisał go ktoś, komu było żal, że czasy romansów w dawnym stylu odeszły. „Wszystkie flirty są pozbawione romantyczności — pisała autorka — nie ma w nich nawet odrobiny finezji.” Gdyby mogła zobaczyć, to co oglądałam w tej chwili, czym prędzej odwołałaby swoje słowa.

— Rzecz w tym — ciągnęła Rosie — że mieszkam w Hampstead. Co prawda mam mieszkanie z ogrodem i mogę psa zabierać na spacer do parku, ale przez większość dnia nie ma mnie w domu. Poza tym często wyjeżdżam za granicę. Nie jestem więc pewna, czy dobrze robię, zabierając Snowmana.

— Jestem pewien, że ma pani sąsiadów, którzy w ciągu dnia mogą zwrócić na niego uwagę. Nie wątpię również, że znajdzie pani kogoś, kto zaopiekuje się nim, gdy będzie pani podróżować.

Tak naprawdę zasadniczy sens tej rozmowy był całkiem inny. Wystarczyło tylko popatrzeć na Delaneya i Rosie i odczytać słowa, które

nigdy nie zostały wypowiedziane. Oto jak według mnie wyglądał ich dialog:

Delaney: — Myślę, że jest pani cudowną kobietą.

Rosie: — Wydaje mi się, że pan też jest pociągający...

Mieszkam w Londynie. Mój adres znajdzie pan w książce telefonicznej. Czasami wyjeżdżam za granicę w celach służbowych.

Ocknęłam się, bowiem nadszedł czas wypowiedzenia mojej kwestii: — Ja się nim zaopiekuję, Rosie. Będzie to dla mnie przyjemność.

Rosie: — Moi przyjaciele nazywają mnie Rosie...

— No i problem został rozwiązany, pani Campion — powiedział weterynarz. — Proszę przejrzeć kartkę, którą pani dałam. Może znajdzie pani coś niezrozumiałego, co trzeba będzie wyjaśnić. To dobry moment, aby mi o tym powiedzieć.

Delaney: — Chciałbym, żebyś została trochę dłużej...

Przerzuciła kartki, a potem zerknęła na sporządzoną przez niego notatkę.

— To wszystko wydaje się całkiem proste — stwierdziła, spoglądając mu w oczy.

— Zamieściłem tam jedną ze stosowanych przeze mnie psich diet. Może pani ją, oczywiście, zmienić, jeżeli tylko pani zechce. On może nie lubić niektórych rodzajów mięsa, które wymieniłem. Zdążyłem zauważyć, że zwierzęta też mają własny smak. Miałem kiedyś psa, który jadł owsiankę, i kota, który nie pił mleka, dopóki nie dolałem mu do niego herbaty.

Delaney: — Zostań jeszcze chwilę, porozmawiamy.

Rosie: — Zawsze z przyjemnością sobie z tobą pogadam... Ma pan niezmiernie interesującą pracę i... bardzo ciężką. — zauważyła.

— Tak, to ciężka praca i trafiają się też niezmiernie smutne momenty. Ale czasami, chyba żeby to zrekompensować, bywają i takie dni, jak dzisiejszy. Ten dzień jest dla mnie bardzo szczęśliwy. Widziałem już panią przedtem w telewizji.

Opowiadała pani o Irlandii.



To wielka przyjemność poznać panią osobiście.

— Jest pan doprawdy bardzo miły. Nigdy nie jestem pewna, czy zamiast zabawiać nie nudzę ludzi moimi opowieściami o podróżach. Sprawił pan, panie Delaney, że umocniłam w sobie wiarę w sens tego, co robię.

— Mam nadzieję, że zapamięta pani drogę do moich drzwi i podczas jednej z kolejnych wędrówek odwiedzi mnie. Proszą tylko dać mi znać, a wyjdę na powitanie. Proszę też, aby podpisała mi pani swoją książkę, tę o Irlandii i Szkocji.

— Zrobię to z przyjemnością — odparła Rosie. Spełniwszy jego życzenie wstała i zaczęła się żegnać. — Nie wolno nam zajmować panu zbyt wiele czasu. Tyle zwierząt czeka w poczekalni! Dziękuję jeszcze raz za pańską pomoc. To było niezmiernie uprzejme z pana strony. Ile jestem winna za wizytę?

— Wielkie nieba, pani Champion! Przecież ja nic nie zrobiłem! Spotkanie z panią to dla mnie zaszczyt i wielka radość!

— W takim razie jeszcze raz dziękuję — powiedziała Rosie, podając mu rękę.

Przytrzymał ją przez kilka sekund. Potem przypomniał sobie o mnie i uściśnął także moją dłoń. Odprowadził nas do drzwi i na pożegnanie poklepał Snowmana.

Wracałyśmy do samochodu w milczeniu. Ciocia włożyła papiery do torebki i oznajmiła: — A teraz do Kielder Forest!

Zastanawiałam się w duchu, jaki wymyśli powód, żeby zajrzeć raz jeszcze do Lea Moss.

Spędziłyśmy w Kielder Forest większą część dnia, z czego najbardziej zadowolony był Snowman. Zawarł kilka nowych przyjaciół, głównie z dziećmi. Zjadłyśmy lunch, po czym Rosie zajęła się sporządzaniem notatek, a ja robieniem zdjęć.

— Może zabrałabyś psa na spacer? — zaproponowała, kiedy miałam już dość i odłożyłam aparat. — Pobiegaj z nim, to może straci trochę energii.

— Poznałam go na tyle dobrze, by sądzić, że energię stracę raczej ja, a on będzie szalał jak dotąd — odparłam. Postanowiłam jednak to sprawdzić i zabrałam psa na krótką przechadzkę.

Snowman był posłuszny. Kiedy go wołałam, przybiegał do mnie natychmiast. Nie tak jak inne psy, z którymi miałam do czynienia do tej pory. To było oczywiste, że ktoś go gruntownie wyszkolił. Wędrowałam powoli zastanawiając się, kim był jego właściciel. Może Snowman uciekł od niego? Trudno jednak uwierzyć, że pies, który tak lubi ludzi, był kiedykolwiek źle traktowany. A może rację miał policjant sugerując, że po prostu właściciel zmarł. Któż to wie? Mogło być i tak, że jego pan chciał psa uśpić, a on wyczuł to i uciekł.

„Biedny, stary Snowman” — pomyślałam i przywołałam psa do siebie.

Przygalopował natychmiast, siadł, i patrząc na mnie czekał na to, co powiem.

— Wracajmy, piesku — pogłaskałam go po głowie. — Myślę, że Rosie skończyła już sporządzanie notatek.

Okazało się, że miałam rację. Moja kochana ciotka siedziała sobie na ławce, czytając gazetę.

Kiedy usłyszała że nadchodzimy, podniosła głowę. Na jej twarzy malował się niepokój.

- Co się stało, Rosie?!

- Z ojcem Martina jest niedobrze - odpowiedziała. - Przynajmniej wydaje mi się, że chodzi o jego ojca. To wczorajsza gazeta. Nie miałam czasu, żeby przejrzeć ją wcześniej, więc zabrałam ją ze sobą. Spójrz na to, Franco.

Artykuł zamieszczony był na pierwszej stronie. Tytuł brzmiał: „Zaginął starszy archiwista z MSZ. Minister nie podejrzewa zdrady” Z treści wynikało, że niejaki Charles Heaton, urzędnik, zatrudniony w ministerstwie jako archiwista, zamieszkały w Richmond w hrabstwie Surrey, nie pojawił się od czterech dni w domu. W poniedziałek nie wrócił z biura, chociaż wyszedł z pracy o tej samej godzinie, co zwykle.

Jego żona, Sarah, oświadczyła, że nie ma pojęcia, gdzie jej mąż się znajduje. Nie wspominał o żadnym wyjeździe, czuł się znakomicie i w ostatnim czasie sporo pracował. Minister, poproszony o skomentowanie całej sprawy oświadczył, że nie ma żadnych podstaw, aby podejrzewać Heatona o szpiegostwo bądź zdradę. Pan Heaton nie wykonywał żadnych tajnych prac. Jego zadaniem, jako archiwisty, było wyłącznie katalogowanie zdezaktualizowanych ministerialnych akt. Autor notatki wspominał też, że Heaton przeżył niedawno załamanie nerwowe i zaczął skarżyć się na zaniki pamięci, co moim zdaniem niezbyt się zgadzało z informacją o jego dobrym samopoczuciu. W ostatnim zdaniu zamieszczono prośbę policji, aby każdy, kto wie cokolwiek o losie zaginionego, zgłosił się do najbliższego komisaria tu lub w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

W gazecie zamieszczono też fotografię pana Heatona. Był bardzo podobny do Martina, chociaż oczywiście starszy.

Oddałam ciotce gazetę.

— Zwróciłaś uwagę na podobieństwo? — zapytała. — To na pewno jego ojciec. Nazwisko i adres się zgadzają. Martin mówił przecież, że jego rodzice mieszkają w Richmond i że ojciec jest urzędnikiem państwowym. Pamiętasz to? Musiał się dowiedzieć o zniknięciu ojca ostatniej nocy, kiedy wreszcie dodzwonił się do domu.

— Tak, przypomniałam mu, by zadzwonił, kiedy wróciliśmy ze spaceru. Ale dlaczego nie poinformował nas, co się stało?

— Nie wiem. Przypuszczał pewnie, że dowiemy się o tym z gazet. Współczuję jego matce — jej mąż zginął, a w tym czasie nie było przy niej nikogo bliskiego!

— Nie obawiaj się. Martin na pewno dotarł do domu.

— Mam nadzieję, że jego ojciec odnajdzie się, bez względu na to, gdzie teraz jest. Pewnie gdzieś się błąka...

— Może tu w okolicy? — powiedziałam. — Pochodzi stąd. Musimy się za nim rozejrzeć!

— Łatwo będzie go rozpoznać — stwierdziła Rosie. — Musimy po

prostu szukać starszego mężczyzny podobnego do Martina. Czy w gazecie podali dokładny rysopis? Wzrost, kolor oczu...

— Oczy brązowe, szatyn, lekko szpakowaty — odczytałam i przez ułamek sekundy zobaczyłam łagodne, ciemne oczy Martina, wpatrzone we mnie ostatniej nocy.

— Czuję się teraz znacznie bardziej winna z powodu tego wypadku — denerwowała się Rosie. — Gdyby nie moja nieostrożność, Martin wiedziałby o wszystkim znacznie wcześniej. Do diabła!

— Daj temu spokój, Rosie! W dalszym ciągu uważam, że to nie była twoja wina, tylko Snowmana. Jeżeli chcesz kogoś ukarać, to ukaraj jego. Chociaż, według mnie, on tym się wcale nie przejmuje.

— W porządku. Zostawmy to. Skierowałam rozmowę na inny temat.

— Gdzie robimy następny postój?

— Zgodnie z naszym planem podróży — w Bellheaton. Ale będziemy tam dopiero jutro, a nie wiemy, czy w tutejszym hotelu pozwolą nam trzymać psa. Lepiej zatelefonujemy tam.

— Na Boga, zapomniałam o psie! Chodźmy zobaczyć, czy znajdzie się dla niego jakieś miejsce do spania.

Niestety, w hotelu, w którym zarezerwowałyśmy wcześniej pokoje, nie wolno było trzymać psów. Rosie odwołała więc rezerwację i wróciła do samochodu.

— Muszą być przecież jakieś miejsca w okolicy, w których można zatrzymać się z psem!

— Możemy spróbować poszukać pokoiów gościnnych. Według mapy ta droga — wskazałam palcem — prowadzi do Millbrigde. Może tam coś znajdziemy — powiedziałam.

Kiedy byliśmy już w połowie drogi do celu, Rosie zawołała:

— Zatrzymaj się!

Podjechałam do krawężnika. Na frontowym oknie domu, który właśnie mijaliśmy, widniał napis: „Nocleg i śniadanie”.

Ciotka poszła zapytać o miejsce dla nas i Snowmana, a ja w tym czasie zawróciłam samochód i zaparkowałam naprzeciwko domu.

Po krótkiej rozmowie z gospodynią Rosie wróciła.

— Wszystko załatwione, wysiadaj! Gospodarz, pan Entwhistle przyjdzie za minutę i pomoże nam przenieść bagaże.

Z domu wyszedł potężny mężczyzna. Zabrał nasze torby, podczas gdy ja walczyłam z psem, nakłaniając go do opuszczenia wozu. Wreszcie udało mi się to i w trójkę ruszyliśmy do hotelu.

Pan Entwhistle zdążył już zanieść bagaże na górę i zszedł, by się nami zająć. Snowman swoim zwyczajem zaczął skakać wkoło niego, tak jakby znał się z gospodarzem od dawna. Mężczyzna roześmiał się i pogłaskał psa po głowie.

Jego żona była miłą, starszą panią; pierwszą rzeczą, o którą spytała było, czy jesteśmy głodne.

— Jedliśmy już kolację — usprawiedliwiła się. — W domu jest tylko trochę baraniny, groszku i ziemniaków, a poza tym potrawka z jarzyn i szarlotka.

Przed kolacją poszliśmy się umyć. Nasz pokój był czysty i schludny; łóżka kuściły czystą pościelą. Łazienka znajdowała się obok. Odświeżone ze-szliśmy na dół i zjadliśmy wspólnie posiłek, najlepszy, jaki podano nam w ciągu ostatnich kilku dni.

Po kolacji gospodyni przyniosła kosz i stary koc dla psa. Zrobiliśmy mu legowisko w kącie i powoli szykowaaliśmy się do snu, gdy pani Entwhistle zapukała raz jeszcze proponując nam oglądanie telewizji w saloniku. Podziękowaliśmy; byliśmy zbyt zmęczone. Rosie zapytała tylko, czy mogłaby dostać dzisiejszą gazetę. Nie miałyśmy okazji kupić jej w ciągu dnia.

Kiedy ciotka myślała się, ja czytałam na głos nowiny. Nie było nic nowego na temat pana Heatona. W dalszym ciągu nie znano miejsca jego pobytu. Minister powtórzył swe poprzednie oświadczenie o braku związku pomiędzy zniknięciem archiwisty a problemem bezpieczeństwa państwa. Artykuł zakończono oświadczeniem: „Do poszukiwań przyłączyła się policja w Northumberland. Pan Heaton urodził się w tym regionie i mieszkał tam do osiemnastego roku życia.

Istnieje więc prawdopodobieństwo, że tam właśnie się udał.

— Zastanawiam się, czy Martin nie przyjechał tutaj, aby odnaleźć ojca — powiedziałam.

— Ale on przecież nie wiedział, że jego ojciec zaginął! A może... W każdym razie nie miał o tym pojęcia, dopóki nie zadzwonił do matki. Nie mógł o tym wiedzieć, w przeciwnym razie pojechałby prosto do domu. Może jego matka kontaktowała się z tym kuzynem, do którego jechał? No, najważniejsze, że wrócił do domu i zaopiekował się nią.

— Ale dlaczego nic nam nie powiedział, Rosie? Przecież kiedy wyjeżdżał, jego ojca nie było już od czterech dni w domu. Dlaczego gazety wcześniej nie poinformowały o tym zniknięciu?! Ach tak, to oczywiste. Liczyli pewnie na to, że sam się odezwie, że się odnajdzie. Pozostaje nam mieć nadzieję, że wszystko skończy się dobrze.

Następnego ranka po zjedzeniu olbrzymiego śniadania, pożegnałyśmy miłych gospodarzy obiecując, że na pewno znowu kiedyś ich odwiedzimy. Pani Entwhistle odstąpiła nam kosz i koce dla Snowmana i stała na drodze, machając nam na pożegnanie.

Gdy dotarłyśmy do Bellheaton, zostałam ze Snowmanem w samochodzie, a Rosie poszła zadzwonić do hotelu. Po jakimś czasie wróciła, patrząc na mnie ponuro.

— Żadnych psów — powiedziała. — Poradzili mi, żebym pojechała do Morpeth. Nasz plan podróży i tak jest w strzępach, więc jedna zmiana więcej, jedna mniej, nie zrobi już różnicy.

Odnalazłyśmy Morpeth, urocze miasteczko pełne kwiatów, które spodobało nam się od pierwszego spojrzenia. Była tam rzeczka, nad brzegami której rosły wspaniałe drzewa, w dali widniał stary most. Jedyne nazwa rzeczki — Szara — nie pasowała do atmosfery okolicy, ale nie przeszkadzało to nam w rozkoszowaniu się senną atmosferą tego zakątka.

Dostałyśmy w hotelu dwa pokoje. Między nimi znajdowała się łazienka, z której miałyśmy korzystać wspólnie. Kosz pani Entwhistle, w którym nasz owczarek spał przez całą drogę, ustawiliśmy w pokoju Rosie.

Po lunchu spacerowałyśmy zwiedzając miasteczko. W herbaciarni, w której podawano wspaniałe domowe ciasta, zjadłyśmy podwieczorek. Potem wybrałyśmy się na przechadzkę wzdłuż rzeki; Rosie porobiła mnóstwo notatek, a ja równie dużo zdjęć.

Około godziny szóstej wróciłyśmy niechętnie do hotelu — niestety, trzeba było uporządkować notatki. Rosie miała napisać artykuł dla swojej gazety. Gdy prosiłyśmy o klucze, recepcjonistka zwróciła się do Rosie: — Ktoś chce się z panią widzieć, pani Campion. Czeka w małym pokoju, obok hallu.

Spojrzałyśmy na siebie „dzikim wzrokiem” — poetycko mówiąc. Czyżby to był Martin? Skąd się dowiedział, gdzie jesteście?

Pokój był ogromny, wyglądał niemal jak sala konferencyjna. Na wprost wejścia stał olbrzymi stół, przy którym bez wątplenia zasiadali członkowie jakiegoś zarządu. Pod ścianą ustawiono rząd krzeseł, a na środku pokoju, bliżej okna, stały sofa i fotel.

— Pani Campion — zaanonsowała recepcjonistka. Wpuściła nas do środka, a sama wyszła i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Siedzący na fotelu mężczyzna wstał i zbliżył się do nas. Podaliśmy sobie ręce. Widząc wyraz jego twarzy domyśliłam się, że nie będzie to towarzyska pogawędka.

— Proszę, niech panie usiądą — powiedział uprzejmie, wskazując ręką na sofę.

Usiadłam, natomiast Rosie rozejrzała się wokoło i wybrała sobie krzesło w prawym rogu pokoju. Mężczyzna wyglądał na niezadowolonego, ale nic nie powiedział.

— Nazywam się Richard Giles — przedstawił się. — Oto moja legitymacja. Rosie wzięła dokument i obejrzała go dokładnie, po czym podała go mi. Nie było w nim nic szczególnego — wyglądał jak zwykła legitymacja służbowa. Zastanawiałam się, czy był policjantem.

Ale co takiego zrobiłyśmy?

— W czym możemy panu pomóc, panie Giles? — zapytała uprzejmie ciotka.

— Szukam... szukamy kogoś. Moi pracodawcy chętnie porozmawialiby z tym człowiekiem. Mam nadzieję, że panie będą w stanie nam pomóc.

Pomyślałam, że najpierw powinnam się zdecydować, w którym imieniu chce mówić — swoim czy departamentu, który reprezentuje.

— O kogo chodzi? — zapytała Rosie.

— O Martina Heatona. Czy panie wiedzą, gdzie on teraz jest?

— Można wiedzieć, w jakim celu chce się pan z nim spotkać? — zauważyłam, że Rosie stara się być jak najbardziej uprzejmą.

— Przed chwilą próbowałam to pani wyjaśnić, pani Campion — mężczyzna był trochę poirytowany. — Musimy wiedzieć, gdzie on jest. Mamy ku temu swoje powody...

— Przepraszam, ale co za „my”? — dociekała Rosie. — Jest pan policjantem, czy kimś w tym rodzaju? A może pan Heaton ukradł panu pieniądze? Czy jest pan komornikiem, bukmacherem, a może jeszcze kimś innym?

W skrytości ducha oklaskiwałam ją za finezję, z jaką drażniła się z nim. Mężczyzna poczerwieniał z gniewu, ale zdołał się opanować.

— Nie jestem nikim takim, pani Campion. Mogę powiedzieć tylko tyle, że odnalezieniem pana Heatona zainteresowany jest rząd. Jestem pewien, że rozumie pani, co chcę przez to powiedzieć.

— Obawiam się, że niestety nie — odparła Rosie.

Teraz mężczyzna zwrócił się do mnie.

— A co pani na to, panno Thorne? Może pani mogłaby mi powiedzieć, gdzie przebywa pan Heaton?

Przejmując pałeczkę od Rosie odparłam: — Przepraszam, ale do czego właściwie on jest panu potrzebny? Czy to oszust? A może szpieg? Nie jest pan policjantem, a więc kim? Jakie ma pan prawo do zadawania nam tych wszystkich pytań?

Giles westchnął.

— Pracuję dla Departamentu Bezpieczeństwa. Dowodem na to jest moja legitymacja. Może zechciałaby pani obejrzyć ją ponownie?



Myślę, że wtedy wszystko będzie łatwo zrozumieć.

— A gdzie pan pracuje? W Londynie? — dociekała Rose. — Jaki jest numer telefonu do pańskiego biura?

— Można się spytać, po co to pani?

— Z tego, co pan powiedział o sobie, nic nie wynika. A więc, panie Giles, proszę o numer telefonu pańskiego Departamentu.

Wyjął ponownie legitymację i podał jej.

— Znajdzie go pani po lewej stronie legitymacji.

Ciotka podeszła do stojącego na małym stoliku telefonu, podniosła słuchawkę i poprosiła centralę o połączenie.

— Czy to Departament Bezpieczeństwa? — zapytała po jakimś czasie. — Nazywam się Rose Champion.

Domyśliłam się, że poproszono ją, by zaczekała.

Po mniej więcej trzech minutach ktoś się odezwał... Nie słyszałam, oczywiście, co mówi, ale zobaczyłam, że Rosie uważnie słucha. Po chwili powiedziała: Rozmawiam z mężczyzną, który twierdzi, że jest waszym pracownikiem. Ma legitymację na nazwisko Richard Giles. Zanim odpowiem na jego pytanie, chciałabym się upewnić, że jest tym, za kogo się podaje. Czy zechciałaby mi go pani opisać, bardzo proszę...

Obserwowałam Gilesa w czasie, gdy ciocia słuchała odpowiedzi. Robił się wściekły...

W końcu Rosie odezwała się: — Dziękuję. Trzeba być bardzo ostrożnym w dzisiejszych czasach. Chyba przyzna mi pan rację?

Cisza...

— Tak, wszystko rozumiem. Do widzenia! Odłożyła słuchawkę i usiadła z powrotem na swoim krześle.

— No, a teraz, o co chciałby mnie pan zapytać, panie Giles?

— Przekonała się już pani, że jestem tym, za kogo się podaję? — w jego głosie słychać było ukryte szyderstwo.

Rosie zignorowała to, przesyłając mu tylko jedno ze swoich słynnych morderczych spojrzeń.

— Czy pani wie, gdzie znajduje się Martin Heaton?

— Niestety, nie.

— Ale zna go pani?

— Tak, poznaliśmy się kilka dni temu.

— Z tego co wiem, noc z trzeciego na czwartego września spędziły panie w Alwinham. Pan Heaton też się tam zatrzymał. Zjedliście razem obiad. Chyba się nie mylę?

— Tak było.

— Ale on wyjechał rankiem następnego dnia, prawda?

— Nie wiem dokładnie, kiedy wyjechał.

— Panno Thorne — zwrócił się teraz do mnie. — Czy pani wie, o której godzinie Martin Heaton wyjechał z Alwinham?

— Nie — odpowiedziałam. — Wiem tylko, że kiedy się obudziliśmy, już go nie było.

— Czy jest pani tego pewna?

— Sądzi pan, że kłamię, panie Giles?

— Nie, pytam tylko, czy jest pani tego pewna. Proszę spróbować sobie przypomnieć. Czy mówił, dokąd zamierza się udać następnego dnia?

— Nic mi nie mówił o swoich planach.

— To może pani coś wie na ten temat? — zwrócił się do Rosie. — Czy wspomniał pani, dokąd się udaje?

— Panie Giles, znałyśmy pana Heatona zaledwie dwa dni, więc dlaczego miałby nam coś mówić?

— Pani Champion, nie byliście sobie zupełnie obcy, prawda? Spędziliście razem całe dwa dni, nie rozstając się ze sobą ani na moment.

Jego głos był już zupełnie spokojny.

— Skoro pan wie tak wiele, panie Giles, myślę, że wiadomo jest panu również, iż to przeze mnie pan Heaton miał wypadek i bardzo niebezpiecznie zwichnął sobie nogę. Czulałam się w obowiązku kupić mu nowy rower. Chciałam to jednak zrobić dopiero po wizycie u lekarza i upewnieniu się, że będzie mógł na nim jeździć. Niestety, lekarz powiedział, że w jego stanie to wykluczone. Dlatego też znaleźliśmy

hotel, żeby się tam zatrzymać na noc, zjedliśmy razem posiłek i poszliśmy spać. Następnego ranka już go nie było.

— I nie zostawił żadnej wiadomości, dokąd jedzie? To niezbyt grzeczne, prawda, pani Champion?

— No cóż, nie moją sprawą jest krytykowanie innych, panie Giles. Mogę mieć tylko nadzieję, że nie nadweręży sobie nogi, podróżując na piechotę. Mam zresztą podstawy, by sądzić, że pojechał do domu.

— Z tego wnioskuję, że zostawił list.

— To była raczej krótka notatka, nie list. Dzień wcześniej zapytałam go, gdzie według niego najlepiej kupić rower i po prostu zostawił mi adres sklepu.

— Czy ma pani jeszcze ten list, pani Champion?

— Już panu mówiłam, że to nie był list, tylko kartka z adresem. Zapisałam go w notatniku, a świstek wyrzuciłam.

— Czy mógłbym zobaczyć pani notatnik, pani Champion?

Serce podeszło mi do gardła, modliłam się w duchu o nagły ratunek...

Rose wyjęła z torebki kalendarzyk i podała mu.

— To ten ostatni zapis. Davies i syn, Cleveland Street, jeżeli dobrze pamiętam.

Oddał jej notes a ona włożyła go z powrotem do torebki.

— Czy domyśla się pani, dlaczego tak nagle wyjechał?

— Nie mam pojęcia.

— A pani, panno Thorne?

— Nie wiem.

— Nikt do niego nie dzwonił tamtej nocy?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Ale niech pan zapyta telefonistkę, powinna coś wiedzieć.

— Niestety, nie. Kończy pracę o określonej godzinie, a potem wszystkie rozmowy łączone są automatycznie. Więc pani nie może nam pomóc, panno Thorne?

— Obawiam się, że nie.

Skąd mogłabym wiedzieć, czy pan Heaton dzwonił gdzieś czy nie!

— Mogłaby pani, jeśli spędziła z nim pani większą część nocy...

Rozzłościłam się.

— Sugeruje pan, że spaliśmy ze sobą? Panie Giles, znałam Heatona tylko dwa dni, jeżeli pan pamięta. Nie spałam z nim tej nocy i nie podobają mi się pańskie insynuacje. Nie ma pan prawa mnie obrażać!

Rose dodała:

— Nie odpowiemy więcej na żadne pytania. Za kogo się pan uważa? Postaram się, aby odpowiednie osoby dowiedziały się o pańskim zachowaniu. Idziemy, Frances!

Podeszła do drzwi i poczekała na mnie. Wy-szłyśmy na korytarz, po czym skierowałyśmy się do naszych pokojów. Rosie zaproponowała:

— Wejdz do mnie. Mam ochotę na szklaneczkę brandy.

Za każdym razem, gdy Rosie wyrusza w podróż, zabiera ze sobą małą butelkę brandy — „tak na czarną godzinę”. Dobrze wie, że gdyby całą wypila, na niewiele by się to zdało, ale gdy któregoś dnia zwróciłam jej uwagę, odparła mi: — Nigdy nic nie wiadomo, Franco. Czasami nieszczęścia opadają cię stadami.

A rozmowa z Gilesem bez wątpienia nie należała do przyjemności.

Przyniosła z łazienki dwie szklaneczki, usiadłyśmy na łóżku i popijałyśmy brandy z wodą.

— Faj! — zawołała. — Jaki obrzydliwy facet! Jak on mógł sugerować, że moja siostrzenica poszła do łóżka z kimś, kogo zna nie dłużej niż pięć minut! Powinnam napisać skargę na niego. Może do Timesa albo lepiej do mojej gazety.

— Och, nie! Nie rób tego, Rosie. Proszę cię!

— W porządku, ale jeśli jeszcze raz wejdzie mi w drogę, zniszczę go! To wszystko, co mogę powiedzieć. Teraz chodźmy coś zjeść. Umieram z głodu.

Podczas obiadu rozmawiałyśmy o Martinie.

— Myślisz, że jego ojciec zrobił coś poważnego? — zaniepokoiłam się. — Nie uważasz, że taki człowiek jak Giles, musi mieć ważne

powody, żeby szukać Martina? Chyba spodziewa się, że on wie, gdzie przebywa jego ojciec.

— Myślę, Franco, że to więcej niż prawdopodobne. W każdym razie sama czytałaś: rząd nie sądzi, iż ma to cokolwiek wspólnego z próbą działania na szkodę kraju.

— Zastanawiam się, gdzie on teraz może być? — powiedziałam. — Pan Heaton, oczywiście! I gdzie się podziewa Martin? Nie sądzę, by Giles to wiedział.

— Jestem ciekawa, dlaczego Gilesowi tak bardzo zależy na tej informacji. Niezależnie od tego, czy pan Heaton zrobił coś naprawdę złego, czy nie. A jeżeli nie, to dlaczego go ścigają? Biedak prawdopodobnie cierpi na amnezję. Myślę, że niedługo go odnajdą, zamieścili przecież w gazecie jego zdjęcie!

Rozejrzałam się po jadalni.

— Wygląda na to, że Giles będzie jadł obiadek gdzie indziej.

— Uważam, że powinniśmy zadzwonić do Martina — oznajmiła Rosie.

— Przecież nie mamy ani jego numeru, ani adresu.

— Jak to nie mamy? Jest w moim notesie.

— Co? I Giles tego nie zauważył?

— Zapisałam go na innej stronie, Franco. Przyszła mi teraz do głowy niesamowita myśl. Może ten stolik jest na podsłuchu? Zajrzyj lepiej do wazonu!

— Och, Rosie! — wykrzyknęłam. — To wszystko przez te kryminały, które czytasz. Lepiej chodźmy na kawę.

O dziesiątej położyłam się do łóżka z książką, chcąc za wszelką cenę uwolnić się wreszcie od myśli o Heatonach. Rosie została w salonie. Kiedy ją opuszczałam, była pogrążona w rozmowie z wyjątkowo przystojnym, zielonookim Francuzem.

Następnego ranka spakowałyśmy rzeczy i ruszyłyśmy do Hexham, małej miejscowości w pobliżu Rzymskiego Muru. To miejsce było uwzględnione w naszym planie podróży.

Gdy wjeżdżałyśmy do miasteczka, Rosie stwierdziła: — Ta okolica jest dosłownie przesiąknięta historią. I to historia przez duże H. Odbyło się tu więcej bitew, napadów i inwazji niż gdziekolwiek indziej. Aż trudno to sobie wyobrazić! Nawet Attyla w porównaniu z niektórymi tutejszymi bandytami, trudniącymi się gwałtem i rabunkiem, mógłby uchodzić za świętego! Możesz mi wierzyć!

— Koniecznie muszę o tym poczytać w przewodniku — odparłam. W każdym razie dzisiaj jest tutaj miło i spokojnie.

— Niedaleko znajduje się urocze opactwo. Musimy tam wstąpić, jest bardzo stare.

— I co jeszcze?

— I... niektórzy ludzie lubią takie rzeczy, więc przestań być złośliwa.

— Wcale nie jestem złośliwa. Próbuję się tylko dowiedzieć, z jakiego powodu mam uważać jakieś miejsce za wyjątkowe.? Czy tylko dlatego, że jest stare?

— Chociażby dlatego, że rzemiosła na takim poziomie, jakie tu możesz zobaczyć, nie spotka się dzisiaj na żadnym kroku! Zaprzecz temu, jeżeli potrafisz.

— Nie mam zamiaru. Ale zawsze w takich wypadkach przychodzą mi na myśl biedni niewolnicy, którzy za nędzne wynagrodzenie wznosili te imponujące budowle. A może uważasz, że cel uświęca środki?!

— Wygrałaś, Franco. Nie zamierzam jednak spierać się z tobą o coś, co miało miejsce setki lat temu. Zatrzymajmy się gdzieś na kawę — muszę się w końcu obudzić!

— A propos, dokąd zmierzał ten przystojny Francuz?

— Na południe. O, tu jest kawiarnia.

Piłam rurowatą kawę, a Rosie tymczasem przeglądała gazetę, którą kupiłam po drodze.

— Jest coś ciekawego? — zapytałam.

— Nic — odrzekła.

Złożyła gazetę i schowała do plastikowej torby, która stała na

podłódze obok jej krzesła.

— Może już wrócił?

— A może zatuszowali całą historię? — zasugerowała.

— Zapomnialiśmy zadzwonić do Martina.

— Zrobimy to, jak tylko dojedziemy do hotelu. Co robi Snowman?

Zajrzałam pod stół.

— Bez zmian, ciągle śpi. Zazdroścę mu łatwości, z jaką zapada w sen, kiedy tylko jest czymś znudzony. Nie ma co, dobraliście się, ciciu Rosie.

— Czuję, że ty zapłacisz dzisiaj rachunek...

Większość czasu w Hexham spędziłyśmy na zwiedzaniu miasteczka, sporządzaniu notatek (Rosie) i robieniu zdjęć (ja). Słońce świeciło nie przesłonięte chmurami, pogoda była wprost wymarzona do spacerów. Obejrzałyśmy wszystkie wymienione w przewodnikach historyczne miejsca, a po lunchu pojechałyśmy na południe w stronę wzgórz, które miejscowi nazywają Yarridge.

Okolica była cudowna, jechałyśmy powoli, sycąc oczy pięknymi, jesiennymi widokami. W oddali widniały góry, któraś z nich to była Cheviot, szczyt, o którym opowiadał Martin. No tak, znów pomyślałam o Martinie. Patrzyłam na odległe szczyty i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek wybierzemy się tam razem.

Zatrzymawszy się usiadłyśmy na miękkiej, bujnej trawie. Rosie wsadziła nos do przewodnika.

— Zgodnie z tym, co tu jest napisane, Hexham i okolica widziały więcej bitew, niż ty zjadłaś w swoim życiu kolacji. W większości z nich stronami byli Anglicy i Szkoci, ale nie zawsze.

— Fascynujące — powiedziałam. — No cóż, chłopcy nie mogą się obejść bez swoich rozkosznych zabawek, nieprawdaż? „I co dobrego w końcu z tego wynikło?” — zapytano małego Peterkina. „Ach, trudno powiedzieć” — odrzekł. „Ale było to wspaniałe zwycięstwo”.

— Znowu jesteś złośliwa — zwróciła mi uwagę i schowała przewodnik do torby. — Chodźmy popatrzeć na rzekę. Uwielbiam rzeki,

a ta tutaj jest wprost rozkoszna. W przewodniku twierdzą, że „Tyne — to po prostu чудо”

Rzeka była rzeczywiście przepiękna.

— W przewodniku zamieścili nawet wiersz o niej — dodała Rosie, kiedy podziwialiśmy roztaczający się przed nami widok. — Przeczytam ci go.

— Och, nie! Proszę, wszystko, tylko nie to! — zawołałam, krzywiąc się przeraźliwie.

— Siedź cicho i słuchaj! — wrzasnęła ciotka, ponownie wyciągając z torby przewodnik.

Ach, gdzież jest przewoźnik,

Oddam mu wszystko,

Byle z kłopotu wybawił mnie.

Nagród otrzyma moc.

Ach, przewieź mnie przez Tyne,

Do mej ukochanej,

Pokonaj wzburzonej rzeki nurt.

— Podobna mi się to, Rosie. „Przewieź mnie przez Tyne, do mej ukochanej.” Rozkoszne.

— Taaak — patrzyła na mnie niepewna, czy mówię poważnie. — No, trzeba ruszać. Chcę zobaczyć jeszcze opactwo, zwłaszcza że dzisiaj niedziela. Mój przyjaciel Clive radził mi, żebym koniecznie obejrzała je wewnątrz — podobno jest wspaniałe. Nie musisz ze mną iść, i tak nie pozwolą ci robić zdjęć.

— Dlaczego mam nie iść? Zamierzasz tam się z kimś spotkać? Kto to jest Clive?

Roześmiała się.

— Jest w tej chwili we Francji. To artysta, a w wolnych chwilach pisuje zabawne kawałki dla naszego magazynu. I bynajmniej nie spodziewam się spotkać tam tego zielonookiego przystojniaka, jeśli o to ci chodzi. Ach, te oczy...

— Powinnaś dać mu swój numer telefonu — powiedziałam.



— Zrobiłam to — odparła.

Byłam zadowolona, że zwiedziłyśmy opactwo. Dla tego widoku warto było przejechać całą Anglię. Po tym co zobaczyłam, opuściłam kościół z głową pełną muzyki i śpiewu. Przed oczami wirowały mi witraże, kolumny i sklepienia.

Kiedy przechodziłam przez ulicę, aby podejść do samochodu, zobaczyłam Martina. Nie wierzyłam własnym oczom. Szedł pewnym krokiem w stronę rynku. Zauważyłam, że nadal utyka.

— Rosie, to Martin! — zawołałam. — Popatrz tam, koło przejścia dla pieszych.

— Więc to tak! — wykrzyknęła. Ruszyliśmy za nim. Po drugiej stronie jezdni zatrzymał się i rozejrzał. Znieruchomiłyśmy. To nie był Martin. Mężczyzna miał kasztanowe włosy i nosił okulary.

— Mogłabym przysiąc, że to on! — przyznała Rosie. — No cóż, wracamy do samochodu, Franco.

— Ale on nawet szedł jak Martin! — zawołałam, idąc za nią.

— To prawda, dlatego dałam się zwieść. No, kochanie, nie patrz tak, proszę cię!

— Przepraszam — powiedziałam. — Byłam taka pewna, że to on!

— To dlatego, że ten mężczyzna też utykał. A poza tym, to po prostu chciałaś, żeby to był Martin.

— Masz rację — westchnęłam zrezygnowana. — Och, Rosie!

Uścisnęła mnie czule.

— Coś mi mówi, że niedługo go zobaczysz. Nie zamartwiajmy się, jestem pewna, że Martin ma się dobrze. Zadzwonimy do niego, jak tylko znajdziemy się w hotelu.

Nie mogłyśmy jednak połączyć się z jego numerem.

Telefonistka oznajmiła nam, że linia jest uszkodzona. Próbowaliśmy jeszcze parę razy, ale bez skutku. Poszłyśmy więc spać.

Leżałam w łóżku i rozmyślałam o Martinie. Dlaczego się z nami nie skontaktował? W swoim liście obiecał to zrobić! Ale w jaki sposób? Nie wiedział nawet, gdzie jesteśmy! Pewnie myślał, że zadzwonimy do niego

albo do jego matki. Powinien tam być. Zdecydowałam, że zadzwonię do niej jutro. A co zrobić, jeżeli go tam nie zastanę, jeżeli wyruszył na poszukiwanie ojca?

Długo myślałam nad tym wszystkim, nim wreszcie udało mi się zasnąć.

RS

## Rozdział IV

Cały następny dzień lało, spędziłyśmy go więc na porządkowaniu i przeglądaniu zebranych materiałów. Segregowanie notatek i układanie ich w osobne rozdziały było diabelskim zadaniem. Jakie przyjąć kryterium? Może według alfabetu, a może według stron świata? Od północy, czy od południa? A może podzielić wszystko na miasta i wioski, góry i doliny? W końcu jakoś to wszystko posortowałyśmy.

Wieczorem przestało padać, zabrałam więc Snowmana na spacer. Wypatrywałam mężczyzny o kasztanowych włosach, który tak przypominał mi wyglądem Martina, ale nie udało mi się go spotkać.

Rano znowu spróbowałyśmy dodzwonić się do Martina, ale na próżno. Smutny głos w słuchawce poinformował nas, że „połączenie nie może być zrealizowane”

Byłam rozczarowana.

— To straszne!

— Prawdopodobnie konserwują linie w Oxfordzie. W takich wypadkach wyłączają zwykle wszystkie numery w danym obwodzie. Myślę, że to miała na myśli telefonistka, mówiąc o poważnym uszkodzeniu.

— A może to sprawka tego Gilesa? — powiedziałam gorzko.

— Daj spokój, Franco. Nie możemy go obwiniać za wszystko tylko dlatego, że jest niesympatyczny. Wieczorem spróbujemy zatelefonować jeszcze raz.

Zatelefonowałyśmy więc znowu, kiedy wróciłam ze Snowmanem z przechadzki. Musiałam użyć ręcznika, aby wytrzeć go po spacerze.

— Przecież nie pada! — zdziwiła się Rosie. — W jaki sposób to zwierzę doprowadziło się do takiego stanu?

— Trochę brykania na trawce, więcej nie trzeba. Okazuje się, że trzeba było kupić ręcznik dla niego.

Skończyłam wycierać psa i wprowadziłam go do pokoju.

— Siad! — krzyknęła Rosie, a on natychmiast usiadł jej na stopach.

W czasie kolacji opracowałyśmy plan zwiedzania Rzymskiego Muru. Pozostał nam na to tylko jeden dzień, dlatego chciałyśmy wykorzystać go najlepiej, jak to tylko możliwe.

— Pamiętaj, że to są tereny pasterskie i pełno tu owiec. Musimy przez cały czas trzymać psa na smyczy — ostrzegła Rosie.

— Jasne — odrzekłam. — Kiedy będę robiła zdjęcia, przywiążę go do najbliższego drzewa. Czy może miałabyś ochotę na szklaneczkę wina?

W barze nie było zielonookiego Francuza i Rosie nie miała z kim poflirtować. Już o jedenastej położyłyśmy się spać.

Na wpół śpiąc wymamrotała jeszcze:

— Zapomniałam zapakować przewodnik. Przypomnij mi o tym rano.

— Dobrze. Czy to przewodnik po rzymskim murze?

— Oczywiście. Nie zabierałabym ze sobą książki o Ashby-de-la-Zouch!

Roześmiałam się i zamknęłam oczy. Ashby-de-la-Zouch była jedną z ulubionych nazw Rosie.

Jadąc do Calderwood, które było naszym kolejnym miejscem docelowym, zatrzymałyśmy się w przydrożnym zajeździe. Miałyśmy zamiar wypić kawę i przeczytać gazety.

— Jest coś na interesujący nas temat? — spytała Rosie.

— Ani słóweczka

— To może być dobry znak — stwierdziła. — Może pan Heaton wrócił do domu i ogłoszenia nie są już potrzebne?

— Mam nadzieję, że tak jest.

— Franco, ty po prostu jesteś chora z miłości — zauważyła...

— Jestem! No i co z tego?

— Wiesz, co ci powiem? To już ostatnie miejsce, do którego cię zawlokę. Kiedy z tym skończymy, przez resztę urlopu możemy oddać się błogiemu lenistwu. Jak ci się to podoba?

— Bardzo! Gdzie pojedziemy?

— Musimy coś wymyślić. Czy jest jakieś miejsce, które chciałbyś zobaczyć?

— Cheviot!

— Franco, przecież tam już byliśmy. Pamiętasz — góry, wypadek, pies??! Nie oszukasz mnie! Chcesz po prostu zobaczyć Martina. Masz nadzieję, że tam wrócił. Tu cię mam! Nie zaprzeczaj!

— Nie zaprzeczam.

— W porządku, jeżeli nalegasz... Możemy zatrzymać się u pani Entwhistle, dobrze? Jest taką sympatyczną, starszą panią... Zresztą jej mąż również. Tak, to całkiem dobry pomysł. Jak daleko jeszcze do Calderwood?

— Prawie jesteśmy na miejscu. Ale tym razem twoja kolej obudzić Snowmana.

Hotel w Calderwood wydawał się być obleżony przez archeologów, w większości zresztą amatorów. Wszystko, co usłyszałyśmy w czasie lunchu, dotyczyło „dorobku kulturowego Rzymian” Było tam tego zatrzęsienie — mam na myśli archeologów, a nie dorobek. Starsi, młodzi, entuzjaści, profesjonalisci, studenci i profesorowie, Anglicy, Szkoci, Walijczycy, Irlandczycy, Francuzi i Niemcy, a także jeden no, może dwóch Amerykanów.

Przy naszym stoliku siedzieli państwo Baldwin. Pochodzili z Bristolu. Pani Baldwin zapytała, czy interesują nas wykopaliska i to, co zostało po Rzymianach. Widziałam, że Rosie ostatkiem sił hamuje się, żeby nie powiedzieć czegoś obrazo-burczego.

— Oczywiście — wydukała. — Mam tylko nadzieję, że pogoda będzie przyzwoita. Wczoraj w Hexham cały dzień padało...

— Synoptycy przewidują, że przez parę dni będzie sucho... Co panie sądzą o Hexham? Były panie w opactwie? — zapytała pani Baldwin.

Nie miałyśmy wyjścia. Podczas lunchu musiałyśmy rozmawiać o opactwie w Hexham, katedrach, plebaniach i tym podobnych rzeczach.

— Powinny panie pojechać do Chesters. Tylko tam można w całej okazałości zobaczyć i docenić kunszt Rzymian. To naprawdę

fantastyczne! Te wszystkie cuda, które tu wykopano!

Rosie podniosła się z miejsca. Jej oczy były podejrzenie zażławione.

— Mam nadzieję, że zobaczymy się później. Wracaliśmy do naszych pokojów, a moja kochana ciocia aż się skręcała ze śmiechu.

— O mój Boże! — zawołała z trudem chwyając oddech. — „Cuda, które tu wykopali"! Z kopaniem kojarzy mi się tylko mój ogród i to, czego dokonałam zaraz po wprowadzeniu się do nowego mieszkania. To był prawdziwy horror. Fuj! Odkopałam całą masę robactwa. Jeszcze teraz widzę te potwory...

— Na litość boską, pomyśl o czymś innym! I lepiej się pospieszmy. Musimy pojechać do Chesters i skończyć z tym wreszcie.

— Chesters, moja droga — pouczyła mnie Rosie — to miejsce, gdzie przechowuje się pamiątki po naszych premierach. Wyrażaj się o nim z szacunkiem!

Jednakże szczęście nam nie sprzyjało. Właśnie kiedy ruszałyśmy w drogę, zaczęło padać i lało bez przerwy przez całe popołudnie.

— Musimy chyba odłożyć zwiedzanie naszego słynnego Chesters do jutra. Co ty na to, kochanie? — zwróciła się do mnie Rosie.

— Nic nas nie goni. Mamy masę czasu — odparłam posepnie.

Wyjrzałam przez okno i popatrzyłam na chmury, były szare i ciężkie. Deszcz przeistoczył się w ulewę.

Okna naszego pokoju wychodziły na podjazd. Właśnie kiedy tak wyglądałam przez jedno z nich nadjechał samochód. Wsiadł z niego jakiś mężczyzna; w jednej ręce trzymał walizeczkę i torbę podróżną, drugą podtrzymywał kapelusz, chroniąc go przed wiatrem. Wszedł do hotelu. Odwróciłam się od okna.

— Rosie, śpisz? — zapytałam.

Moja towarzyszka przed chwilą położyła się, aby uciąć sobie krótką drzemkę.

— Nie — odpowiedziała.

Otworzyła oczy. Musiałam wyglądać nieszczególnie, bo ze strachem w głosie zawołała:

— Co się stało, Franco?!

— Nasz przyjaciel, pan Giles, właśnie wprowadził się do hotelu.

- No nie! Jesteś pewna?

— Na sto procent. Widziałam go doskonale, kiedy wysiadał z samochodu.

— No cóż, widocznie zainteresował się archeologią. Co o tym myślisz, Franco?

— To samo co ty! Nie wygłupiaj się, dobrze? Co on tutaj robi? Nie wiadomo, czy jedzie za nami, czy za Martinem? A może za jego ojcem? Rosie, to straszne, że tak mało wiemy! Mało prawdopodobne, by Martin był gdzieś tutaj. Sądzę, że opiekuje się matką. O właśnie, może spróbujemy do niej zadzwonić?

— Teraz? — zapytałam z nadzieją.

— Nie, dopiero wieczorem. Daj mi odetchnąć, Franco, i przestań panikować! Ten mężczyzna może być pracownikiem rządu, ale nie jest przecież Drakulą! A tak na marginesie, jeżeli on w dalszym ciągu myśli, że wiemy, gdzie są obaj Heatonowie, to się całkowicie myli! Może jeździć za nami do samej śmierci, ale w ten sposób niczego się nie dowie. Jeżeli spodziewa się, że go zaprowadzimy do celu albo że coś wiemy, niech tak myśli — mnie jest wszystko jedno. Poza tym jeśli będzie włóczył się za nami, to przynajmniej da spokój Heatonom. Nie pomyślałaś o tym?

— Masz zupełną rację! — zgodziłam się.

— No więc, przestań się zamartwiać i odpręż się trochę. Połóż się, poczytaj książkę i wyrzuć ze swojej biednej głowy te wszystkie czarne myśli. A może przeszłabyś się trochę?

Pomyślałam, że rzeczywiście opuszczenie na jakiś czas smutnego, hotelowego pokoju dobrze mi zrobi. Zaczęłam zbierać się do wyjścia. Snowman, wylegujący się do tej pory w koszu, podbiegł do mnie machając swoim śmiesznym ogonem.

— Przykro mi, słoneczko — zwróciłam się do niego — nie mogę cię teraz zabrać ze sobą.

Deszcz strasznie pada: zmokłoby ci to twoje puszyste futerko.

— Nie przejmuj się nim! — uśmiechnęła się Rosie. — Zostaw go tu, a sama zejdź na dół. Zabierz ze sobą książkę. Jeżeli Giles zobaczy cię i zaczepi, opowiedz mu o tym, co dzisiaj robiłaś albo porozmawiaj o pogodzie. W ostateczności zawsze możesz zrobić mu wykład o dorobku kulturowym Rzymian. Jeżeli spyta, czy spotkałaś się z Martinem, to powiesz, że nie. To jest prawda, więc nie wątpię, że szczerłość będzie aż biła z twojej twarzy.

— Zgodna. Zdam ci relację, gdy wrócę.

— Dobrze, a teraz idź już i pozwól mi oddać się lenistwu — powiedziała Rosie.

Popołudnie upłynęło mi na czytaniu kryminału i popijaniu piwa. Salon był pełen ludzi. Rozmawiali, czytali, rozwiązywali krzyżówki w Timesie. Giles nie pojawił się. Nadeszła pora podwieczorku, więc postanowiłam obudzić Rosie. Weszłam do pokoju i zobaczyłam, że wygląda przez okno.

— Przejaśnia się od zachodu, to dobry znak. Co ty na to?

— Świetnie! Nie jesteś czasami głodna?

— Myślę, że zjadłabym konia.

— Widziałaś naszego przyjaciela? — spytała ciotka.

— Nie. Może teraz się z nim spotkamy?

— Ciekawe, jaki ma samochód?

— Czarną toyotę.

— Niesamowite! Jak mogłaś to zobaczyć w takim deszczu?

— Mój były chłopak miał taki samochód — przedmiot dumy i radości. W środku było tyle bajerów, że dziwiłam się, iż to auto nie potrafi aportować.

Giles nie zjawił się na podwieczorku. Gdy deszcz ustał trochę i zdecydowałyśmy się zabrać Snowmana na spacer, aby mógł skorzystać z najbliższej psiej „toalety” Niedaleko hotelu był mały zagajnik i pies zwiedził go wyjątkowo dokładnie, zanim pobiegł dalej. Niestety, nie mogłyśmy przyjrzeć się okolicy, bo niebo wciąż zasnuwały szare, ciężkie



chmury, a w dodatku pojawiła się mgła. Snowman obiegł zagajnik i wrócił w podskokach. Biegał wokół i zachowywał się jak szczeniak, a nie jak dorosły pies. Zdażyliśmy się już do tego przyzwyczaić, pilnowanie go podczas spaceru nie sprawiało nam specjalnych kłopotów. Był doskonale ułożony, posłuszny, a poza tym bardzo łatwo można go było zauważyć. Cierpliwie znosił szczotkowanie sierści, jadł wszystko bez grymasów. Musiałyśmy tylko kupić dla niego olbrzymią miskę na wodę, bo mała nie dawała gwarancji, że nie zatopi dywanu.

Kolację zjadłyśmy z państwem Baldwin.

— Nie pojechały panie do Chesters? — zapytała pani Baldwin.

Ciekawa byłam, skąd o tym wie. Może widziała mnie po południu w hallu.

— Nie w taką pogodę! — powiedziałam. — Co to za synoptyk przepowiedział na dzisiaj przejaśnienie?!

— Czasem tak się, niestety, zdarza. Ale może jutro będzie ładnie. Co o tym myślisz, Basil? — zwróciła się do męża.

— Nie założyłbym się o to. Nigdy nic nie wiadomo. Jak długo panie zamierzają tu zostać?

— Tylko do czwartku — odpowiedziała Rosie. — Myśli pan, że do tego czasu przestanie padać?

Pan Baldwin roześmiał się.

— No, teraz to pani jest pesymistką, pani Champion! Jestem pewien, że jutro będzie ładnie.

— Ale nie założyłby się pan o to — przypomniała Rosie.

Wybuchnęliśmy śmiechem.

Po posiłku poszliśmy do baru, gdzie od razu zwróciliśmy na siebie uwagę jednego z Amerykanów. Nazywał się Colbert Rogers. Kiedy się przedstawił, popatrzyłam z obawą na Rosie. Rogers pochodził z Filadelfii, był w średnim wieku, miał orzechowe oczy i lekko szpakowate włosy. Ujął nas natychmiast swoim poczuciem humoru. Narzekając na pogodę zauważył, że przyjechał tutaj, aby na własne oczy zobaczyć słynny mur Hadriana, ale jak do tej pory widział tylko deszcz.

— Interesują pana rzymskie budowle, panie Rogers? — zapytała Rosie.

— Nieszczególnie. Jeśli mam być szczerzy, nie jestem zbyt zainteresowany Rzymianami. A pani?

— No cóż, prawdę mówiąc — ale proszę nikomu nie powtarzać — nie obchodzą mnie zupełnie. Moja przyjaciółka ma na ten temat podobne zdanie. Prawda, Franco?

— Nie znoszę Rzymian, ale to może dlatego, że oblałam egzamin z łaciny. Z dwojga złego wolę Greków.

— Dlaczego? — zainteresował się Rogers.

— Byli zabawniejsi, przynajmniej tak mi się wydaje...

— A jaka jest pani opinia, pani Campion?

— Chyba się zgodzę z Frances. Co pan o tym myśli? Nie. Proszę nie odpowiadać! Czuję się, jakbym brała udział w quizie telewizyjnym. Panie Rogers, przejechał pan kawał świata, aby zobaczyć Rzymski Mur i nie lubi pan Rzymian. O co tu chodzi?

— Nie lubię Rzymian, ale lubię ich budowle. Roześmiałyśmy się, a on zaproponował następnego drinka.

— Ja już dziękuję — pokręciła głową Rosie. — Jeden mi w zupełności wystarczy.

— A pani, panno Thorne?

— Z przyjemnością się napiję.

— Całkiem miły facet, nie uważasz? — zwróciłam się do Rosie, gdy poszedł po drinki.

— Tak, rzeczywiście. Nigdy nie mogłam znieść amerykańskiego poczucia humoru, ale pan Rogers jest całkiem zabawny. Ciekawa jestem, jaki jest jego zawód. Założymy się? Stawiam funta.

— Dobrze. Jak obstawiasz?

— Bankier. A ty?

— Profesor. Uważaj, wraca!

Przyniósł dla mnie moje ulubione wino, a dla siebie whisky z wodą. Usiadł i zapytał:

— Panie są tu na wakacjach?

— Niezupełnie — odpowiedziała Rosie. — Pisuję artykuły dla magazynu podróżniczego, więc w zasadzie jestem tutaj w pracy. Oczywiście, przesiadywanie w barze w towarzystwie czarującego Amerykanina należy do moich służbowych obowiązków. Frances nudziło się, więc zdecydowałam się zabrać ją ze sobą — trochę dla towarzystwa, trochę do pomocy. A tu jest nasz ostatni obowiązkowy postój.

— Rozumiem, to interesujące. Ja też jestem pisarzem. Nie, nic wspólnego z rzymską architekturą. Piszę powieści. Bohaterami książki, którą piszę są Anglicy, a część akcji umieściłem w Londynie, dlatego też wybrałem się tutaj, aby... — przerwał.

— Poobserwować nas? Podpatrzeć? — dokończyła za niego Rosie.

— Można tak powiedzieć. Czy to panią bardzo irytuje, pani Champion?

— Pan jest wyjątkowo bystry, panie Rogers — odpowiedziała.

— Czy panią również rozzłościłem, panno Thorne?

— Och — uspokoiłam go pospiesznie. — Nie przeszkadza mi, że ktoś mnie obserwuje. Ale w tym wypadku sądzę, że mam jedną szansę na sto, żeby zostać zauważoną, nieprawdaż?

— Och, moje panie, wznoszę toast za was obie. Myślę, że będziemy się świetnie rozumieć.

— Nigdy nie był pan bankierem, prawda?

— Nie, nie byłem. Czy to źle?

— Pytam o to, ponieważ gdyby był pan bankierem, musiałabym zapłacić Rosie funta. Ale wychodzi na to, że myliłyśmy się obie, więc wszystko jest w porządku.

— A jaki zawód pani obstawiła, jeśli można wiedzieć?

— Profesor.

— No, to w pewnym sensie pani zgadła. Byłem kiedyś profesorem — przez całe cztery potworne lata.

— Nie zamierzam płacić za to, co było — oświadczyła Rosie. —

Jakie książki pan pisze, panie Rogers?

— Głównie kryminały i bajki dla dzieci.

— To byłby cud, gdyby zdarzyło mi się którąś przeczytać — uśmiechnęła się do niego. — Czy podpisuje się pan swoim prawdziwym nazwiskiem? Nie, proszę nie odpowiadać, przepraszam, że zapytałam. Porozmawiajmy lepiej o czymś innym...

— Na początek może o mężczyźnie siedzącym tam, w rogu. Wybacz mi pani bezpośredniość, ale ten pan wyjątkowo się panią interesuje i to nie w sposób, w jaki większość mężczyzn zazwyczaj to robi. Nie, proszę się nie odwracać! Opiszę go pani. Jest trochę ode mnie wyższy — mam około pięciu stóp i jedenastu cali — niebieskie oczy, zbyt wcześnie posiwiiałe włosy, bo nie może mieć więcej niż czterdzieści lat. Dobrze utrzymane paznokcie, długi nos, uprzejmy wyraz twarzy. Ubrany jest w elegancki, granatowy garnitur i ma do niego tradycyjny krawat.

— Doskonale go pan opisał, panie Rogers — powiedziała Rosie.

— Zna go pani?

— Spotkaliśmy się kiedyś.

— I nie lubi go pani?

— No tak, jest pan rzeczywiście niepokojąco bystry.

— Bardzo miło mi to słyszeć. W pokoju obok grają w bilard, może pójdziemy popatrzeć?

— Dobry pomysł. Bardzo lubię przyglądać się bilardzistom — zgodziła się Rosie.

— Kłamstwo, pani Champion, ale cóż — chodźmy.

Przeszliśmy do sali bilardowej, gdzie gra osiągnęła właśnie punkt kulminacyjny. Naokoło stołu ustawiono krzesła dla ewentualnych widzów, trochę dalej znajdowały się miejsca dla osób, które chciałyby wypić piwo i porozmawiać. Tam właśnie usiedliśmy. Podszedł kelner, ale żadne z nas nie miało ochoty niczego zamawiać.

— Dziękuję panu, panie Rogers — powiedziała Rosie, przerywając milczenie.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł.

— Skąd pan wiedział, że Rosie nie lubi tego faceta? — zapytałam.

— Nie myliłem się, prawda? Pomyślałem po prostu, że nie należy on do tego rodzaju osób, które chciałyby pani zaliczyć do swoich przyjaciół — zwrócił się do niej.

— To prawda.

— Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

— Obawiam się, że nie, panie Rogers. Dobry Bóg widocznie chciał nas tym doświadczyć, jak mawiała moja kochana babcia. Lepiej będzie, jeżeli już pójdziemy — zwróciła się do mnie wstając.

— Panie Rogers, było nam bardzo miło pana poznać. Może spotkamy się znowu.

Wstał również i wymieniliśmy uściski dłoni.

— To była dla mnie prawdziwa przyjemność. Może zobaczymy się jutro? Czy dokądś się panie wybierają?

— Och, to zależy od pogody — powiedziała Rosie. — Dobranoc panu.

— Dobranoc.

Odprowadził nas do drzwi i pożegnał staromodnym, czarującym ukłonem.

Rosie nie odezwała się ani słowem, kiedy wchodziłyśmy po schodach. Przerwała milczenie dopiero w pokoju.

— Wezmę tylko prysznic. Nie potrwa to długo.

— Nie musisz się spieszyć. Poczekam. Leżałyśmy już w łóżkach, gdy odłożyłam książkę na stojący obok stolik.

— Czy wiesz, co zapomniałyśmy zrobić? — zapytałam.

— Ach, prawda! Miałyśmy zadzwonić do Martina. W takim razie zrobię to teraz! — wykręciła numer, ale okazało się, że połączenie jest w dalszym ciągu przerwane.

— Za późno już, żeby dzwonić do jego matki — stwierdziła. — Zrobimy to jutro, zgoda?

Zasypiałyśmy już, gdy tym razem to do nas ktoś zadzwonił.

Podeszłam do aparatu. W słuchawce odezwał się głos pana Rogersa. — Przypuszczam, że chce pan rozmawiać z moją ciotką? — zapytałam.

— Niekoniecznie. Chcę tylko przekazać, że wasz znajomy opuścił właśnie bar i wyszedł z hotelu. Prawdopodobnie poszedł na parking.

— Dziękuję panu za informację — powiedziałam. — Do jutra.

— Kto to był? — zdziwiła się Rosie.

— Dzwonił nasz amerykański przyjaciel. Giles wyszedł właśnie z hotelu.

Wstałam i wyrzałam przez okno. Ujrzałam odjeżdżający samochód, ale był już zbyt daleko, bym mogła zobaczyć go dokładnie. Rosie stanęła przy mnie.

— Czy to on odjechał? — zapytała.

— Nie widziałam zbyt dobrze, ale to mógł być jego wóz. Miejmy nadzieję, że to on!

Wróciłyśmy do łóżek.

— Miły jest ten twój Amerykanin — stwierdziłam.

— On nie jest mój! — oburzyła się.

— No, oczywiście. Dobranoc, Rosie.

— Dobranoc.

Zgasiła nocną lampkę i pograżyłyśmy się we śnie.

Ranek był ciepły i słoneczny, a na błękitnym niebie nie sposób było dostrzec ani jednej chmurki. Przed śniadaniem wybrałam się z psem na spacer. Z radością wdychałam świeże powietrze. Biegałam między drzewami i bawiłam się ze Snowmanem, rzucając mu patyki, które ochoczo przynosił. Po półgodzinie tej zabawy poczułam, że jestem gotowa na wszystko. Nagle usłyszałam za plecami czyjeś kroki. Obejrzałam się i zobaczyłam pana Rogersa, idącego w moim kierunku.

Snowman poczuł do niego „miłość od pierwszego wejrzenia” Skakał wokół mężczyzny wesoło, a w końcu przyniósł mu patyk. Amerykanin śmiejąc się przyjął ten prezent, a potem rzucił daleko.

— Bardzo pana przepraszam. Staramy się go od tego odzwyczaić, ale on zachowuje się tak w stosunku do osób, które lubi, czyli

praktycznie wobec wszystkich. Mimo że widzi pana po raz pierwszy, będzie posłuszny każdemu pańskiemu poleceniu. Jest naprawdę wyjątkowo karny. Bardzo pana pobrudził?

— Nie jest tak źle! Zresztą mam na sobie spodnie specjalnie przeznaczone na poranne spacery i zabawy z psami... Co za olbrzym! Jak się wabi?

— To owczarek angielski. Nazywa się Paskudny Bałwan, w skrócie Snowman.

Roześmiał się.

— A jakie jest jego prawdziwe imię?

— To jest jego najprawdziwsze imię.

— Pani żartuje?!

— Nie. To jego imię i na nie reaguje.

— Musiała być chyba jakaś specjalna przyczyna, dla której pani go tak nazwała?

— O tak, była. Ale to długa historia.

— Może przejdziemy się trochę? Przy okazji będzie pani mogła ją opowiedzieć.

Szliśmy ścieżką, która wiała się między drzewami, co jakiś czas zatrzymując się, żeby rzucić patyk Snowmanowi. Opowiedziałam Rogersowi o wszystkim, co wydarzyło się tamtej pamiętnej nocy. O rozbitym rowerze i samochodzie, naszych poszukiwaniach właściciela psa, o tym, że weterynarz musiałby psa uspić, gdybyśmy go nie przygarnęły.

— No, to jest pani teraz na niego skazana...

— Nie ja, raczej Rosie. Ale trzeba przyznać, że do tej pory świetnie się rozumieją. Poza tym pies jest bardzo dobrze wyszkolony. Naprawdę nie sprawia zbyt wielu kłopotów.

— Sądzi pani, że przyszedłby, gdybym ja go zawołał?

— Niech pan spóbuje!

— Chodź tu, piesku! — krzyknął i Snowman przybiegł do niego w podskokach.

— Siad! — krzyknęłam i pies posłusznie przykucnął.

W pysku zamiast patyka, który mu rzuciłam, trzymał starą szczotkę do włosów.

— Dobry pies — powiedział Rogers, a potem pochylił się i wyjął szczotkę z włochatego pyska.

— Nigdy nie wiadomo, kiedy może ci się przydać taka stara szczotka do włosów.

Zamachnął się i rzucił ją między drzewa. Pies natychmiast pogonił w tamtym kierunku.

Zawróciłam w stronę hotelu, Rogers ruszył za mną.

— Dzisiejszy dzień jest pogodny, więc przypuszczam, że wybiorą się panie zobaczyć ten słynny mur.

— Tak, jedziemy do Chesters. To niedaleko stąd. Nasi sąsiedzi przy stole powiedzieli nam, że archeolodzy szukają tam czegoś. Może zjawimy się w samą porę, by stać się świadkami epokowego odkrycia! Kto to wie?

— W pani głosie nie ma zbyt wielkiego entuzjazmu.

— Nie jedziemy tam dla przyjemności, ale, rzekłabym w celach zawodowych.

— A propos, czym się pani zajmuje na co dzień? Wczoraj ominęło panią to pytanie.

— Jestem urzędnikiem państwowym. Pracuję w Departamencie Środowiska, a konkretnie zajmuję się zabytkowymi budynkami i podobnymi starociami.

— Na czym polega ta opieka nad starociami?

— No cóż, jeśli jest to na przykład mój szef, chodzę i szukam dokumentów, które gdzieś położył i zapomniał gdzie, mówię mu kiedy czas iść do domu i tym podobne. Zaczął się tak śmiać, że przez chwilę bałam się, iż pęknie. Mówiłam dalej.

— No, a jeżeli mam do czynienia z „prawdziwym” zabytkiem, to przede wszystkim muszę sprawdzić w jakim jest stanie, do kogo należy i tak dalej.



— To brzmi interesująco — stwierdził.

— Bo to jest ciekawe. Czasami nawet muszę wyjechać w teren i sprawdzić wszystko osobiście.

Zatrzymaliśmy się przed wejściem do hotelu. Zawołałam psa i założyłam mu smycz.

— Zobaczmy się przy śniadaniu — zwróciłam się do Amerykanina. — Oczywiście pod warunkiem, że uda mi się obudzić Rosie, zanim kuchnia tego hotelu zacznie świecić pustkami.

Pożegnaliśmy się i poszłam z psem do pokoju. Rosie była już gotowa do zejścia na dół — umyta, ubrana, uczesana.

— Przebierz się, a ja w tym czasie wytrę psa — powiedziała.

— Co cię obudziło? — zapytałam, próbując wydobyć z szafy sukienkę.

— Obudziło?! Nic nie miało mnie budzić! Ja po prostu zawsze wstaję przed dziewiątą — rozumiesz?!

Zabrała Snowmana do łazienki i wytarła go najlepiej jak umiała.

— Na razie to wszystko, potworze. Kładź się do kosza! — rozkazała mu.

Kiedy schodziłyśmy na dół, odezwała się:

— Przy okazji... widziałam cię przez okno. Myślałam, że jestem jedyną osobą, na której ten pan wypróbował czar swego uśmiechu...

— Przysięgam ci, że jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi — zapewniłam ją.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo właśnie stanęłyśmy w drzwiach jadalni. Kelnerka zaprowadziła nas tym razem do innego stolika. Siedział tam tylko jeden gość i jadł płatki na mleku. Kiedy podeszłyśmy, wstał, przywitał się z nami i usiadł ponownie, uśmiechając się uprzejmie.

— Myślę, że zajęło pani co najmniej pół godziny doprowadzenie tego potwora do porządku — powiedział.

— Trzeba chyba będzie znaleźć jakiś strumień i wrzucić go do niego — zaśmiała się Rosie. — Panie Rogers, chcę panu podziękować za wczorajszy telefon.

— Nie ma o czym mówić, pani Campion. Po prostu wydawało mi się, że chciałaby pani to wiedzieć. Zdaje się zresztą, że ten facet zmienił plany i wyjechał.

— Więc to jego samochód widziałam przez okno. Całe szczęście. A pan pewnie musiał użyć całego swojego uroku, żeby ubłagać recepcjonistkę o połączenie z naszym numerem!

— Franco, nie bądź zbyt bezpośrednia! — zawołała Rosie. — Staram się zrobić z ciebie damę, a ty co wyprawiasz?

— Następne zdanie powinno brzmieć: „Nie wiem, do czego to dojdzie, za moich czasów dziewczęta zachowywały się zupełnie inaczej”

Rosie śmiała się razem z nami.

Zamówiliśmy śniadanie. Rogers był w dobrym humorze i cały czas opowiadał dowcipy. Piłyśmy już drugą filiżankę herbaty, gdy zapytał: — Jadą panie dzisiaj do Chesters?

— Tak — przytaknęła Rosie. — Był pan tam już?

— Jeszcze nie — to nie była prawda, ale o tym dowiedziałyśmy się później. — Czy byłbym wielką zawadą, gdybym się przyłączył?

Ciotka pomyślała chwilę i odparła: — Będziemy robić notatki, zdjęcia itd. Nudziłby się pan.

— Wcale nie! Proszę zabrać mnie ze sobą! Może mógłbym pomóc w sporządzaniu notatek, robieniu zdjęć lub szkiców.

— Za chwilę się dowiemy, że jest pan także artystą — zaśmiała się Rosie.

— Nie zawodowcem, ale podobno całkiem niezłym amatorem. Czasem dobry szkic jest lepszy od fotografii. Dałyby mi panie szansę?

— W porządku. Jedną — zgodziła się Rosie.

— Ale proszę nie myśleć, że to będzie wycieczka. Jeżeli chodzi o mnie, zamierzam tam popracować.

— Oczywiście. Może spotkamy się za pół godziny w hallu?

— Dobrze. Obawiam się jednak, że nie będzie dla pana miejsca w naszym samochodzie.

— Rozumiem — pies. Pojadę za wami swoim wozem.

— Proszę włożyć wygodne buty — dodała Rosie i wstała od stołu.  
— Lepiej jedźmy jak najprędzej, bo może znów zacząć padać.

To był naprawdę udany dzień. Wykonałyśmy uczciwie naszą pracę, Rosie — pracowicie sporządzając notatki, ja robiąc zdjęcia a pan Rogers (teraz już Col) — szkicując pracujących przy wykopaliskach ludzi.

— Popatrzcie na tę twarz! — zawołał, kiedy przechodziłam koło niego.

— Co za Baba Jaga! — wykrzyknęłam patrząc na kobietę, która była modelem.

Moim zdaniem wyglądała jak stara jędza, ale on najwidoczniej dostrzegł w niej coś więcej. Cóż — nie mam artystycznego oka, zawsze to wiedziałam.

Kiedy skończyliśmy pracę w Chesters, pojechaliśmy obejrzeć miejsca, które ze względu na swoje nazwy zafascynowały Rosie, na przykład — Maften, Wallhouses i Stagshaw Bank. Dzień był piękny, świeciło słońce, a okolica była cudowna. Col okazał się dobrym kompanem, pogodnym i wesołym. Brał Snowmana na spacer za każdym razem, kiedy ten się tego domagał. Sporządził też wiele rysunków, w Corbridge natomiast zaprosił nas na lunch do uroczej restauracji. Był to z pewnością jeden z naszych najbardziej udanych dni. Rosie i Col przez większość czasu droczyli się ze sobą, a ja przypatrywałam się temu niezobowiązującemu flirtowi.

Corbridge leżało niedaleko Hexham. Pojechaliśmy tam, aby pokazać Colowi opactwo. Był nim oczarowany, zrobił kilka szkiców budynku, a po wizycie w środku stwierdził: — W takich miejscach czuje się potęgę wiary.

— To prawda — przyznała Rosie. — Takie samo uczucie wywołuje we mnie dźwięk kościelnych dzwonów. Myślę, że to nieodłączna część religii.

Kontynuowaliśmy rozmowę w czasie podwieczorku. Wyglądałam cały czas przez okno łudząc się, że może zobaczę Martina. Wbiłam sobie do głowy, że mężczyzna, którego widziałam tamtego dnia to był on,

tylko że w przebraniu. Tłumaczyłam sobie, że te fantazje są jedynie skutkiem czytania zbyt wielu kryminałów, ale nie mogłam się opanować. Moi towarzysze byli tak zajęci sobą, że na szczęście nie zauważyli mojej zasepionej miny.

Wróciliśmy znowu do Chesters. Archeolodzy pracowali tam bez wytchnienia.

Rosie kończyła notatki, Col i ja poszliśmy z psem na spacer. Kiedy wróciliśmy, zobaczyliśmy stojący nad wykopem mały tłumek.

— Może odnaleźli skarb — zażartował Col — Chodźmy sprawdzić.

Rosie już tam była, opisując w notatniku kolejne znalezisko. Zrobiłam zdjęcie tłumowi, a Col usiadł na jednym z rozkładanych krzesełek i naszkicował całą scenę.

Skończyłam swoją pracę, stanęłam za jego plecami i zapytałam: — Jak tam twoje arcydzieła, mistrzu? Pozwól choć spojrzeć.

— Nie teraz — zamknął szkicownik. — Muszę najpierw zrobić kilka poprawek. Jutro będziesz mogła to obejrzeć.

— W porządku. Jestem głodna, chyba możemy wracać?

— Oczywiście — zgodził się.

Ciocia siedziała już w samochodzie, przeglądając plon całodziennej harówki.

— No, jesteście — powiedziała. — Nigdzie nie mogłam was znaleźć.

— Poszliśmy do teatru obejrzeć przedstawienie — zażartował Col. — Notatki zrobione?

— Tak. A wy skończyliście pracę?

— Col chce jeszcze dopracować szkice, zanim zaprezentuje je zdumionej publiczności — powiedziałam, a on udał, że chce mi dać klapsa.

Snowman znów domagał się spaceru, więc wyszłam z nim zazdroszcząc Rosie, która poszła się położyć, twierdząc, że nie czuje nóg. Col również udał się do siebie, aby dokończyć szkice.

Kiedy wróciłam, ciocia siedziała przy stole, stukając zawzięcie na

swej małej „podróżnej” maszynie. Przerwała na moment, rzuciła okiem na psa i powiedziała zaniepokojona: — Tylko mi nie mów, że znowu pada.

Zabrałam mokre i zabłocone coś, co było kiedyś psem do łazienki i zrobiłam co mogłam, żeby doprowadzić go do porządku.

— Zaczęło padać, gdy byliśmy już na podjeździe — wyjaśniłam.

Zdjęłam przemoczone ubranie, a Snowman usadowił się w koszu i zaczął jęzorem wygładzać nastroszone futro.

Rosie włożyła maszynę do walizki.

— Wszystko uporządkowane! Powinnam teraz wziąć kąpiel i zrobić się na bóstwo.

Kiedy wróciła z łazienki, zapytała: — O czym myślisz? — Nie, pozwól, że zgadnę. O Martinie!

— Tak bardzo chciałabym wiedzieć, gdzie on jest. Sądzę, że Giles przyjechał tu, bo miał nadzieję, że zastanie Martina z nami. Czy myślisz, że on wie, gdzie jesteśmy? Czy ten typ nas przypadkiem nie śledzi?

— Nie wiem, moja droga — odpowiedziała. Podeszła i przytuliła mnie. — Trzeba będzie zadzwonić do jego matki.

O szóstej Rosie wykręciła zdobyty w informacji numer domowy Heatonów. Stałam tak blisko niej, że słyszałam sygnał brzęczący w słuchawce. Po jakimś czasie rozległ się trzask i kobiecy głos zawołał „hallo”

— Pani Heaton? — zapytała Rosie.

— Kto mówi?

— Nazywam się Champion, jestem znajomą Martina. Próbowałam dodzwonić się do jego mieszkania, ale bez skutku. Połączenie jest przerwane. Czy zastałam go może u pani?

— Jestem jego siostrą, pani Champion. Czy może pani chwilę poczekać?

Kilka sekund później odezwał się inny głos: — Pani Champion?

— Tak — odparła Rosie. — Chciałabym się dowiedzieć, czy jest może u państwa Martin?

— Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek o pani wspominał, pani Champion. Długo go pani zna?

— Nie. Spotkałam go niedawno. Miałam wypadek i przy okazji zniszczyłam jego rower. Było to na drodze do Kirknewton. Nie wspominał pani o tym?

— Ach tak, opowiadał mi... Mówił, że jakiś pies wyskoczył przed pani auto i spowodował wypadek. Bardzo mi przykro, że nie skojarzyłam pani nazwiska!

— Nie szkodzi. Dzwonię, bo chciałabym odkupić mu rower, a zapomniałam zapytać, jaki chciałby mieć. Usiłowałam połączyć się z jego mieszkaniem, ale bezskutecznie.

— Niestety, pani Champion, Martina nie ma w domu.

— W dalszym ciągu jest na wakacjach?

— Tak.

— Rozumiem. W takim razie zadzwonię znowu w najbliższym czasie. A może pani zapisze mój numer, na wypadek, gdyby chciał się ze mną skontaktować?

— Oczywiście. Wezmę tylko ołówkę. Już mam. Słucham.

Rosie podała jej swój domowy telefon. Pani Heaton zapewniła: — Dam go Martinowi, jak tylko wróci, pani Champion.

— Dziękuję i przepraszam za kłopot.

— To żaden kłopot. Do widzenia.

— Do widzenia pani.

Rosie nie odłożyła od razu słuchawki, ale trzymała ją jeszcze przez chwilę.

— Słyszałaś? — zapytała, odkładając ją.

— Tak. Matka Martina wydaje się być bardzo miłą kobietą, ale w jej głosie można było wyczuć smutek. W tej sytuacji to zresztą zrozumiałe.

— Nie o to mi chodziło! Miałam na myśli ten trzask już po zakończeniu naszej rozmowy. To dlatego nie odłożyłam od razu słuchawki. Twoja stara ciotka nie jest głupia, Franco. Linia jest na podsłuchu.

— Co?!!

— Podszuch, dziecinko. Jeden dzwoni i coś mówi, a drugi udaje, że go nie ma, i słucha.

— Na szczęście nie powiedziałaś niczego, czego nie powinnaś. Jego matka też nie powiedziała, gdzie jest Martin.

— Myślę, że ona wie o tym podsłuchu. Może to dlatego wyłączyli telefon Martina. Teraz każdy, kto do niego zadzwoni i nie uzyska połączenia, telefonuje do jego rodziców.

— Co za obrzydliwa sztuczka.

— Raczej obrzydliwy zawód, Franco.

— Czyj zawód?

— Ludzi z Departamentu Bezpieczeństwa. Biedna pani Heaton, musi przechodzić obecnie piekło. No cóż, nic na to nie poradzimy. Chodźmy na obiad, Frances.

Col natychmiast przysiadł się do naszego stolika.

— Jak tam twoje arcydzieła? — zapytała Rosie.

— Prawie gotowe. Jutro będziecie mogły je obejrzeć.

W czasie obiadu nie mówił zbyt wiele. Widać było, że coś zaprzęta jego myśli, dlatego Rosie i ja wzięłyśmy na siebie ciężar prowadzenia rozmowy. Co pewien czas spoglądał na Rosie, ale nic nie mówił, starał się tylko uchwycić jej wzrok. Moja ciotka nie zwracała jednak na to uwagi. Ona również myślała o czymś innym i łatwo mi było zgadnąć, o czym.

Zapomniałam wspomnieć, że ciocia Rosie jest kobietą, którą bez wahania można nazwać pięknoscią. Ma drobną twarz o regularnych rysach, doskonałą cerę i burzę kasztanowych włosów, a uwagę każdego przyciągają wielkie, lazurowe oczy. Do tego dochodzi zgrabna sylwetka i elegancja. Należy do tego rodzaju kobiet, na które spogląda się z przyjemnością. Jeżeli chodzi o mnie, to też nie jestem brzydka, ale nie ma żadnego porównania z Rosie. Nie jestem tak elegancka, moje oczy są po prostu niebieskie, włosy brązowe. Może tylko figurą mogłabym jej dorównać — sądzę, że niczym więcej.

Nawet najgorsze typy miękną pod wpływem jej spojrzenia. Zauważyłam, że również ten obrzydliwy Giles spoglądał na nią z uznaniem, mimo iż potraktowała go w sposób co najmniej nieuprzejmy.

Wracając jednak do naszej historii. Zauważyłam, że Col Rogers całkowicie uległ wdziękowi Rosie. Intuicyjnie wyczuwałam, że należy do tego typu mężczyzn, których nie zadowoliliby przelotny romans. Pamiętałam jednak, że Rosie została kiedyś głęboko skrzywdzona przez mężczyznę, którego kochała i poślubiła.

W głębi duszy życzyłam Colowi powodzenia. Bardzo go lubiałam — jego sposób bycia, inteligencję, poczucie humoru i radość życia. Miałam nadzieję, że ciocia myśli o nim podobnie.

Po obiedzie poszliśmy do baru, by jak zwykle napić się kawy i skosztować wina. Wydawało mi się nieprawdopodobne, że tylko jeden dzień upłynął, odkąd go poznałyśmy. Miałam wrażenie, że od dawna jest naszym dobrym, wypróbowanym znajomym.

Wypiłam swoją kawę i wino szybciej niż zwykle i wstałam od stolika.

— Przepraszam was — powiedziałam. — Muszę iść na górę po aspirynę. Głowa mi pęka. Nie, nie ruszajcie się stąd. To nie potrwa długo.

Wróciłam do pokoju. Zdjęłam buty i wyjrzałam przez okno. Deszcz przestał padać, a na niebie pojawił się księżyc. Na parkingu nie było ani śladu czarnej toyoty. Ciekawa byłam, gdzie się podział Giles? Czy ciągle szuka Martina?

No i gdzie, do diabła, jest Martin? Dlaczego nie próbował skontaktować się z nami?

W łazience nalałam sobie szklankę wody, tak dla zachowania pozorów. Zdecydowałam bowiem, że dam Rosie i Colowi pół godziny na małe sam na sam.

W momencie, kiedy stawiałam szklankę na stole, drzwi się otworzyły i wkroczyła Rosie.

— Jak się czujesz? — zapytała.



Byłam tak zaskoczona, że mało brakowało, a rozlałabym wodę.

— Właśnie miałam wziąć tabletkę — odparłam. — Położę się na chwilę. Jeszcze nie umieram, Rosie!

— I jeszcze nie jestem swatką, Franco. Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek miała bóle głowy, ty podstępna kłamczucho!

— Och, Rosie, daj mu szansę. Tak go lubię! Uśmiechnęła się i odparła: — On ciebie też lubi. Dlaczego nie dasz mu szansy?

— Daj spokój — odpowiedziałam, zła na siebie i na nią. — Dzięki niemu spędziłyśmy cudownie dzisiejszy dzień. Zasłużył na coś więcej niż na dwie minuty rozmowy z tobą.

Rosie usiadła na łóżku i spuściła głowę.

— Po prostu boję się; Franco. Możesz to zrozumieć? Col niewątpliwie jest mężczyzną, którego mogłabym pokochać. Mam na myśli prawdziwą miłość. Zresztą wydaje mi się, że już go prawie kocham. Ale, Franco, przeżyłam już jeden miłosny zawód w swoim życiu i załamało mnie to na lata. Nie zniósłabym drugi raz czegoś takiego.

Usiadłam obok i wzięłam ją za rękę.

— Przepraszam, Rosie. Wiem, co czujesz, przynajmniej tak mi się wydaje. Ale Col jest dobrym człowiekiem i kocha cię! On ciebie nigdy nie skrzywdzi.

— Skąd możesz o tym wiedzieć? Czy ktokolwiek mógłby być tego pewny? Nigdy nie spotkałaś Tony'ego, prawda? Oczywiście, nie mogłaś, miałaś wtedy zaledwie kilka lat.

— Widziałam jego zdjęcie, Rosie. Pewnego dnia mama przeglądała stare fotografie i zobaczyłam jego podobiznę. Zapytałam, kto to. Powiedziała mi, a potem podała zdjęcie. Miałam wtedy dziesięć lat.

— Czy pamiętasz, co wtedy o nim pomyślałaś?

— Pomyślałam, że jest bardzo przystojny, ale trochę zarozumiały.

Uśmiechnęła się gorzko.

— Niestety, miałaś rację. Był samolubny, zapatrzonej w siebie. Uważał, że cały świat kręci się wokół niego. Oczywiście, kiedy chciał,

udawał wymarzonego księcia z bajki. Ale po co ci to opowiadam, na pewno dobrze o tym wszystkim wiesz.

— Nigdy o tym nie słyszałam. Ani mama, ani ojciec nigdy mi o nim nie mówili. Ale, Rosie, Col to nie Tony!

— Wiem, ale tamto tkwi we mnie.

— Tak naprawdę jeszcze nie doszłaś do siebie po tych wszystkich przejściach — stwierdziłam.

— To prawda. A minęło już dwanaście lat! Od tamtej pory zawsze panowałam nad swoimi uczuciami. Niektórych mężczyzn bardzo lubię, ale nie pozwalałam sobie na to, aby któregoś z nich naprawdę pokochać. Ciągle się boję, że znowu zostanę zraniona. Jestem tchórzem, prawda?

— Wcale nie jesteś tchórzem! Po prostu nie chcesz, żeby ktoś cię znowu skrzywdził — to wszystko... Ale daj Colowi szansę, Rosie. Zejdź na dół i porozmawiaj z nim. Powiedz, że położyłaś mnie do łóżka. Proszę cię!

— Może masz rację, Franco — westchnęła. — Może nadszedł czas, żeby odważyć się na nową miłość?

Następnego ranka przy śniadaniu Col zaproponował, żebyśmy pojechali do Allendale, słyszał bowiem, że to urocze miejsce. Rosie zdecydowała się odłożyć swoją pracę pod warunkiem, że pomogę jej w porządkowaniu notatek, a ja oczywiście, zgodziłam się służyć jej pomocą. Col nalegał, byśmy wyruszyli jeszcze tego samego dnia, bo prognoza pogody na następny dzień przewidywała deszcz.

Nie znajdziecie Allendale w żadnym przewodniku, ale to urocze miejsce. Wstąpiliśmy na kawę do miłego hotelu, który nazywał się „Horseman” Kiedy tak siedzieliśmy przy oknie i cieszyliśmy się pięknym dniem, Col zaproponował: — Moglibyśmy zostać tu na lunch, jeżeli się zgodzicie. Co wy na to?

— Jesteśmy za — odparła Rosie. — Podoba mi się to miejsce. Nawet nie przeszkadza im to, że pod stołem siedzi Snowman...

Zajrzała pod stół i oznajmiła: — Znowu śpi.

Przed lunchem wybraliśmy się na przechadzkę wzdłuż brzegu

płynącej tuż obok hotelu rzeczki. Snowman jak zwykle ożywił się i ganiał dookoła, wywołując radość wśród dzieci i innych spacerowiczów, tak że w końcu założyłyśmy mu smycz. Colbert uparł się, że będzie trzymał psa.

— Zastanawiam się, dlaczego kiedy człowiek patrzy na rzekę, ogarnia go taki spokój — powiedział, spoglądając na nas.

— To ten spokojny rytm płynącej wody — odparła Rosie.

Osobiście uważałam, że Col czuje się taki spokojny bynajmniej nie pod wpływem rzeki, ale tego, co zdarzyło się poprzedniego wieczora. Oboje zresztą, Col i Rosie wydawali się być odprężeni i zrelaksowani. Wyglądało na to, że mój „ból głowy” do czegoś jednak się przydał.

Szli trzymając się za ręce, jak para młodych kochanków.

— Franco, czy wiesz jak się nazywają kwiaty, które tu rosną? — zainteresował się Col. — Nigdy takich nie widziałem.

— Firletki — odparłam.

— Zabrałeś ze sobą szkicownik? — zapytała Rosie.

— Nie, zostawiłem go w hotelu. Wrócimy tu po lunchu i wtedy je naszkicuję.

— Nie widziałyśmy twoich szkiców z poprzedniego dnia — przypomniałam mu. — Mam nadzieję, że są w tym samym bloku?

— Oczywiście. Mam tylko jeden.

— Nie uważacie, że najwyższy czas na lunch? — spytałam. — Jestem głodna.

— Mówiłam, żebyś zjadła do kawy rogalika! — przygadała mi Rosie. — W takim razie wracajmy. Nie chcemy doprowadzić cię do śmierci głodowej. Może teraz ja zajmę się Snowmanem? — zwróciła się do Cola.

— Nie, pozwól mi go prowadzić, lubię to. Minęło tyle czasu od chwili, kiedy ostatni raz wyprowadzałem psa na spacer...

Lunch był tak smaczny, że postanowiliśmy zatrzymać się tam także na obiad. Po posiłku wróciliśmy nad rzekę, tym razem zabierając ze sobą turystyczne krzeselka. Col szkicował kwiaty, a my oglądałyśmy rysunki

jakie sporządził wczoraj i wcześniej, gdy podróżował samotnie.

— Wielkie nieba, popatrz na to! — zawołała nagle Rosie, przewracając kolejną kartkę.

— To znaczy na co? — zapytałam, spoglądając jednocześnie na szkic, który mi pokazywała.

Był to rysunek przedstawiający kilka osób pochylonych nad wykopem. Po prawej stronie stało; trzech mężczyzn. Jeden z nich był wysokim blondynem o ostrych rysach twarzy, drugi młodszy i ciemnowłosy, a ostatni...

— To Martin! — krzyknęłam.

— Nie, to nie on — zaprzeczyła Rosie. — Przyjrzyj się uważnie. Ten mężczyzna ma około pięćdziesiątki, może jest nawet jeszcze starszy. Popatrz na zmarszczki!

— Nie widzę żadnych zmarszczek — upierałam się.

— Col chodź tu na minutkę! — poprosiła.

— O co się spieracie? — zapytał podchodząc.

— Ten mężczyzna z rękami w ręce — wskazała na rysunek. — Ile może mieć lat?

— Ach ten! Ciekawa twarz, prawda? Był trochę ubłocony, zresztą tak jak wszyscy, którzy tam pracowali. Starszy niż pozostali dwaj. Myślałem, że to profesor albo ktoś taki. Miał około sześćdziesiątki, nie..., mniej, powiedzmy, że był pomiędzy pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Czy to ktoś znany? Dlaczego się nim interesujecie?

— Znamy jego syna — wyjaśniła Rosie. — Franco, on najwidoczniej nie wie, że jest poszukiwany. Wielkie nieba, nasz znajomy Giles mógł go już odnaleźć. Co możemy zrobić?

— Czy mogę się przyłączyć do tej interesującej rozmowy? — zapytał Col. — O czym wy, do dia-ska, rozmawiacie?

— Och, Col, czy pamiętasz tego człowieka, który obserwował nas w hotelu? Gilesa? Szuka kogoś, kogo znamy, a dokładnie ojca naszego znajomego. Musiałeś o tym czytać w gazetach! Ach, ty nie interesujesz się takimi historiami.

— Ten człowiek zaginął, tak? A wy przypuszczacie, że to on jest na tym rysunku? Czytałem o tym w jakiejś gazecie.

— Zgadza się. Pan Heaton jest w niebezpieczeństwie! Jeżeli Giles go znajdzie, nie wiadomo co się stanie!

— Nie rozumiem, skąd ten niepokój? Jeżeli Giki próbuje znaleźć ojca waszego znajomego, to chyba dobrze? Nie można go przecież zostawić samemu sobie, tym bardziej że, o ile dobrze pamiętam, podejrzewa się, iż stracił pamięć.

Dlaczego myślisz, że Giles źle mu życzy, Rosie?

— Nie byłeś świadkiem przesłuchania, jakiemu nas poddał w Morpeth. On był... Och, nie umiem ci tego wyjaśnić!

— Frances, weź głęboki oddech i opowiedz mi całą historię — zażądał Col. Opowiedziałam mu o wszystkim także o wypadku z rowerem, chociaż nawiasem mówiąc, rozmawiałam z nim już o tym wcześniej.

— Wydaje mi się, że w zeszłym tygodniu w Hexham widziałam Martina, ale wtedy miał ciemniejsze włosy — dodałam na koniec.

— Myślisz, że to rzeczywiście był on? Mogłaś się przecież pomylić.

— Miał jeszcze okulary — dodała Rosie. — Ale szedł jak Martin — kulał.

— Ale tylko dopóki nas nie zobaczył — wtrąciłam. — Pamiętasz, kiedy przechodziłyśmy przez ulicę, straciłyśmy go na chwilę z oczu.

Był zasłonięty przez przejeżdżający autobus, ale mógł nas widzieć. Kiedy potem zbliżyłyśmy się do niego, już nie utykał, starał się jak najszybciej odejść.

— Więc przypuszczasz, że on też się gdzieś ukrywa?

— Tak sądzimy. A telefon jego matki jest na podsłuchu — uzupełniła moją relację Rosie.

— Rosie! — Col zdumiał się. — Daj spokój. Czytasz za dużo kryminałów! Skąd możesz, do diabła, to wiedzieć?

— Nieważne skąd. Wiem i koniec.

Jej telefon jest na podsłuchu, na wypadek, gdyby zadzwonił ktoś z

wiadomościami od Martina albo on sam.

— Słuchajcie, nie bierzcie mi tego za złe, ale jeżeli ten człowiek jest poszukiwany przez Departament Bezpieczeństwa, to jest możliwe, że zrobił coś, czego nie powinien.

— To nieprawda! — zaprzeczyłam. — Nie mógłby! Nigdy w to nie uwierzę, nigdy! Rosie... — spojrzałam błagalnie.

— Col, posłuchaj, tu coś nie gra — poparła mnie Rosie. — Po pierwsze, już od tygodnia nie ma nic na ten temat w gazetach, ani słóweczka o panu Heatonie, a po drugie — zbyt dobrze znamy Martina, żeby w to uwierzyć.

Col podjął decyzję.

— W takim razie, chodźmy — powiedział.

— Dokąd? — zdziwiła się Rosie.

— Kierunek — Rzymski Mur, oczywiście. Ale nie zastaliśmy tam pana Heatona, nie było go też w schronisku. Dowiedzieliśmy się jednak od jednego z mężczyzn pracujących przy wykopaliskach, który rozpoznał ojca Martina na szkicu, że nocował w nim, podając się za niejakiego Jessopa. Mężczyzna ten nie miał pojęcia, gdzie pan Heaton się podział. Nie wrócił wieczorem po pracy do schroniska. Zniknął.

— Czegoś się jednak dowiedzieliśmy — stwierdził Col. — Musimy wracać do hotelu. Tu nie ma nic więcej do roboty, Rosie.

— Zamówiliśmy obiad w hotelu „Horseman” pamiętasz? — przypomniała.

— Tak, jedźmy tam! — zgodził się Col. — Co ty na to, Franco?

— No cóż, jedźmy — odpowiedziałam zrezygnowana.

Kiedy godzinę później popijaliśmy w barze dzin z tonikiem, Rosie zwróciła się do Cola: — Zapomnieliśmy uprzedzić w naszym hotelu, że nie będzie nas na obiedzie.

— A powinniśmy? — zdziwił się.

— Tak byłoby grzeczniej — pouczyła go. Westchnął głośno.

— Widzę, że jesteś zdecydowana zrobić ze mnie angielskiego dżentelmena. Dobrze więc, zadzwonię.

Rosie uśmiechnęła się, kiedy odszedł.

— Czyż on nie jest kochany?

— Wyjątkowo kochany — przytaknęłam. Posłuchaj... — zawahałam się.

— Mów! A zresztą, wiem, o co chcesz spytać. Odpowiedź brzmi: zastanawiam się nad tym.

— Tak się cieszę, Rosie! — powiedziałam i obie uśmiechnęłyśmy się.

Domyśliłam się, że nie jest jeszcze zdecydowana, ale akcje naszego amerykańskiego przyjaciela zdecydowanie poszły w górę. On wrócił zaś po paru minutach i zapytał:

— Czy ktoś jeszcze ma ochotę na dżin z tonikiem?

— Nie, dziękuję! — zaprzeczyłyśmy jednocześnie, a Rosie zapytała: — Co się stało, Col?

— Zadzwoiłem do hotelu. Recepcjonistka była bardzo zadowolona, że ją uprzedziliśmy o naszej nieobecności i poinformowała mnie, że o panią Campion pytał jakiś mężczyzna.

— Jak się nazywał? — zapytała Rosie.

— Giles.

— No nie! Tego już za wiele! Powiedziała, gdzie jesteśmy?

— Na szczęście nie. Powiedziała, że nie wie.

— Ale przecież pytaliśmy ją o najlepszą drogę dzisiaj rano! Może to była inna dziewczyna?

— Ta sama — Sally. Spytała mnie, czy pani Campion życzy sobie, aby przekazać jakąś wiadomość temu dżentelmanowi, a ja odpowiedziałam, że absolutnie nie. Wyjaśniłem, że ten pan jest byłym mężem Rosie, który wszędzie za nią jeździ i naprzykrza się, prosząc, żeby do niego wróciła. Zapytałem też, czy czasami nie zamierza zatrzymać się na noc w hotelu. Okazało się, że właśnie zarezerwował pokój.

— Dziękuję ci — uśmiechnęła się Rosie. — Całkiem nieźle to wymyśliłeś. Historia jak z życia wzięta...

No cóż — spojrział na nią z ukosa. — To był po prostu pierwszy pomysł, jaki mi przyszedł do głowy. No, chodźmy na obiad.

Podczas posiłku nie rozmawialiśmy ani o panu Heatonie, ani o całej związanej z nim historii. Col opowiadał nam o swoich podróżach, a że robił to ciekawie, słuchałyśmy go uważnie; niemniej w głębi duszy wciąż niepokoiłam się o obu Heatonów, sama nie wiem, o którego bardziej. Po obiedzie wróciliśmy do baru.

— Mamy szczęście — mruknął Col. — W promieniu pięciu jardów nie ma nikogo. Możemy spokojnie porozmawiać.

— Musimy coś przedsięwziąć, ale jakoś nic mi nie przychodzi do głowy — wyznała Rosie.

— Myśl pozytywnie! — zwrócił się do niej Col i bardzo się zdziwił, kiedy roześmialiśmy się słysząc te słowa. — Przede wszystkim, ustalmy jedną rzecz. Jestem neutralny, przeanalizuję więc wszystkie fakty możliwe obiektywnie. W porządku?

— Zgadząmy się — odparła Rosie. — Zaczynam!

— Po pierwsze, zbierzmy wszystko co wiemy. Nie jest tego, niestety, zbyt dużo. Pan Heaton zaginął. Pracował w Ministertwie Spraw Zagranicznych, ale jak wiadomo, nie było to znaczące stanowisko. Możemy przypuszczać, że jego praca nie miała nic wspólnego z bezpieczeństwem rządu czy czymś podobnym. Był tylko archiwistą. Dlaczego więc zniknął? Macie jakiś pomysł?

— Zachowujesz się jak prywatny detektyw — stwierdziłam.

— Nie zmieniaj tematu. Odpowiedz na pytanie.

— Pracował jako archiwista, więc mógł natrafić na coś interesującego w aktach.

— Na co?

— Dokumenty często gdzieś giną — włoży się je do niewłaściwej teczki, albo ktoś je wyjmie, a potem odłoży w złe miejsce. Po kilkudziesięciu latach nieznanne fakty, całkiem przypadkowo i niespodziewanie, wychodzą na światło dzienne. Wystarczy, że ktoś, kto akurat szuka czegoś innego, otworzy taką teczkę.



— To brzmi logicznie — przyznał. — Domyślam się, że bywasz czasami w archiwum. Czy to się zdarza w twoim biurze?

— Oczywiście. Raz, kiedy szukałam pewnego raportu, znalazłam go w zupełnie innym miejscu. Ktoś, kto odkładał go do akt, pomylił rok 1955 z 1965.

— Więc myślisz, że Heaton mógł przypadkowo natrafić na jakieś ważne dokumenty.

— Nie wiem. Wydaje mi się, że archiwiści z Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie mogą sobie pozwolić na taki bałagan w aktach jak my, w Ministerstwie Zabytków. Zresztą tylko osoby na wyższych stanowiskach mają prawo wglądu do akt.

— Czy pan Heaton należał do takich osób?

— Nie mam pojęcia. W gazecie określono go jako archiwistę. Możemy tylko przypuszczać, że był na przykład szefem archiwum... Ale to są jedynie nasze domysły.

— Czy w takim wypadku mógłby mieć dostęp do kartotek?

— Tak przypuszczam, ale nie wiemy tego na pewno, Col. Wszystkie wydziały mają własny sposób pracy.

— Kontynuując ten tok myślenia, jeśli on coś znalazł, powiedzmy — coś ważnego — czy nie powinien kogoś o tym powiadomić? Na przykład, swojego szefa?

— Przypuszczam, że tak — odparłam. Rosie wtrąciła: — A jeśli to co odkrył, obciążało jego szefa?

— To dobra uwaga — podchwycił Col. — Co ty na to, Frances?

— Możliwe, że jego szef był akurat nieobecny — odpowiedziałam. — Ale jeżeli to było aż tak ważne dla Departamentu Bezpieczeństwa, że posunęli się do założenia podsłuchu w telefonie, a Heaton zdawał sobie sprawę z wagi tego, co znalazł, to nie mógł czekać.

Szczególnie jeżeli ktoś, kogo te dokumenty obciążają, odkrył, że on to zabrał.

— Ten scenariusz jest zbyt naciągany — stwierdził Col. Nie sądzisz, Rosie?

— Do mnie to przemawia — poparła mnie. — Ale to tylko hipotezy...

— Oczywiście. Masz może jakiś inny pomysł?

— Pomyślmy — zastanawiała się chwilę, podczas gdy ja z Colem dopijaliśmy nasze drinki.

— Poddaję się — przyznała.

— Teraz ja spróbuję wymyślić coś interesującego. Ale najpierw zamówię jeszcze jedną whisky — oświadczył.

Napełniliśmy nasze szklaneczki.

— No więc, słuchajcie — zaczął. — Po pierwsze zakładamy, że pan Heaton nie jest szpiegiem ani też zdrajcą i nie zrobił nic przeciwko interesom państwa. Zgadza się?

— Tak! — odpowiedziałyśmy chórem.

— Więc jeśli oni robią tyle zamieszania, aby go odnaleźć, znaczy to, że musi wiedzieć coś, czego nie powinien.

— Dlaczego tak uważasz?

— To jest jedyne rozwiązanie, które tu pasuje. Jeżeli przyjmujemy, że Heaton jest uczciwym człowiekiem. Może chodzi o coś, co mogłoby skompromitować rząd? A w takim wypadku — co powinien przede wszystkim zrobić?

— Powiedzieć o tym swojemu szefowi — odparłam.

— A jeżeli podejrzewał, że jego szef też jest w to zamieszany?

— Powinien to przekazać komuś na wysokim stanowisku, albo... Departamentowi Bezpieczeństwa.

— W porządku. A gdyby podejrzewał, że ten dokument mógłby obciążyć nie tylko jedną osobę, ale powiedzmy trzy albo cztery, wszystkie na wysokich stanowiskach? Komu mógłby przekazać tę informację?

— Ciężka sprawa. Musiałby liczyć się z tym, że trafi akurat na kogoś, kogo ten dokument dotyczy — odparła Rosie. — Nie myślę się, prawda?

— Nie. Więc co robi? Znika. Wie, że gdy o odnalezieniu akt dowie

się ta osoba, jego życiu będzie zagrażać niebezpieczeństwo.

— Ale dlaczego nie odłożył tego po prostu na miejsce i nie udawał, że nic nie wie?

— Ponieważ uważał, że te informacje powinny ujrzeć światło dzienne. Poza tym jest uczciwym człowiekiem i odważnym, skoro zdecydował się zrobić to, co zrobił. Z jakichś przyczyn osoba, której on ufa, jest nieosiągalna, może jest chora, a może na wakacjach. Postanowił więc zniknąć do czasu, gdy ten człowiek wróci do pracy.

— Jak moglibyśmy to udowodnić? — zapytała Rosie.

— Nie wiem. Macie jakieś pomysły?

— Jeśli to jest szef departamentu, to mamy szansę — wtrąciłam.

— Tak? Mów dalej! — nalegała Rosie.

— Całą tą sprawę roztrząsali w gazetach, a teraz nie ma na ten temat ani słówka. Dlaczego?! Przypuszczalnie zarządzono blokadę informacji. Ale gdyby ktoś, na przykład dziennikarz pracujący dla zagranicznej gazety, na przykład amerykańskiej, chciał się czegoś o tym dowiedzieć... — przerwałam, bo zobaczyłam wyraz twarzy Rosie.

— Nie, Franco. Nie możemy mieszać do tego Cola. Kategorycznie się na to nie zgadzam! Zapomnij o tym! — zawołała.

Ale naszemu Jankesowi najwyraźniej spodobał się mój pomysł.

— To dobry pomysł — poparł mnie. — Mogłoby się udać. Zastanówmy się... Znam kogoś, kto pracuje dla jednej z naszych gazet i jest teraz korespondentem w Londynie. Prawdę mówiąc, jest mi winien przysługę. Będzie miał okazję, żeby się zrewanżować. Zadzwoń do niego jutro. Chwileczkę, dlaczego nie miałbym zrobić tego dziś wieczorem?

— Col, nie wolno ci! — zaprotestowała Rosie. — To mogłoby i ciebie narazić na niebezpieczeństwo. Col, proszę cię!

— Moja kochana — wziął ją za rękę. Nic mi nie będzie, nie obawiaj się! Ja pozostanę w cieniu, mój przyjaciel w żadnym wypadku o mnie nie wspomni! Pozwól mi to zrobić. Ja także wierzę, że uczciwość powinna zwyciężyć. Pozwól mi to zrobić!

Wystarczyło spojrzeć na niego, by zrozumieć, że nic nie odwiedzie go od raz powziętego postanowienia. Kiwnęła głową.

— W porządku, rób co uważasz za właściwe.

Ucałował jej dłoń.

— To nie potrwa długo — zapewnił i odszedł.

— Przykro mi, Rosie, że to zaproponowałam — odezwałam się ze skrucą.

— Dlaczego? To dobry pomysł!

— Ale ty nie jesteś z tego powodu szczęśliwa.

— Tak, ale to dlatego, że nie mogę znieść myśli, iż przez nas mógłby się znaleźć w niebezpieczeństwie. Myślę... po prostu wydaje mi się, że go kocham.

— Och, Rosie! tak się cieszę! — zawołałam.

Czekałyśmy więc na powrót Cola i rozmawiałyśmy o wszystkim po trochu, omijając jednak zasadniczy temat. Paplałam trzy po trzy, wyobrażając sobie, że będę ją odwiedzać w Filadelfii, kiedy będzie już żoną Cola i martwiąc się, że Snowman będzie tak daleko. Rosie przerwała mi jednak mówiąc, że Col jeszcze nie poprosił jej o rękę i napomniała, bym nie dzieliła skóry na niedźwiedziu.

Minęło ponad pół godziny zanim wrócił, ale na jego twarzy gościł uśmiech.

— Moje drogie! — wykrzyknął. — Pomysł Franco był genialny. Poprosiłem mojego przyjaciela, aby dowiedział się, kto jest szefem pana Heatona. Jego dziennikarz znał całą sprawę z gazet, ale przypuszczał, że Heaton już wrócił do domu i że przyczyną jego zaginięcia była amnezja, bo gazety sugerowały taką możliwość.

Ponieważ „sprawą Heatona” przestano się zajmować, uważał, że została zamknięta. Musiałem poczekać, aż skontaktuje się z pewną sobą — nie mogę wam powiedzieć, z kim — i dowie się, co wiadomo w sprawie naszego archiwisty. Powiedziano mu mniej więcej to, co już wiemy. Wtedy zapytał o nazwisko jego szefa tłumacząc, że zamierza przeprowadzić z nim wywiad. Informator mojego przyjaciela przejrzał

akta i oznajmił, że szef departamentu, w którym pracuje pan Heaton, przebywa na wakacjach w Indiach i wróci do pracy dopiero szesnastego września. Nie wiedział, czy ktoś się z nim już kontaktował w sprawie zniknięcia Heatona, ale przypuszczał, że nie. Szef nazywa się John Stevenham.

— Więc twoja hipoteza okazała się słuszna! Col, ty stary, przebiegły diable! — cieszyłam się.

— Pewnie, pisze przecież te wszystkie kryminały i ma wprawę w wymyślaniu takich historii — zakpiła Rosie. — Więc dokąd nas te informacje zaprowadziły? Wiemy tylko, a raczej przypuszczamy, dlaczego pan Heaton nie powiedział szefowi o swym odkryciu. Ale ciągle nie jesteśmy pewni, czy Giles nie miał jednak racji w niektórych sprawach. To wszystko tylko przypuszczenia, Col.

— Ale prawdopodobne — odparował. — Ale dalej? Nie wiemy gdzie jest Heaton, ani gdzie jest Martin. I co najważniejsze nie mamy pojęcia, co się stało z tymi kompromitującymi dokumentami?

— Pan Heaton umieścił je w sejfie, w banku — zasugerowałam.

— Nie, on nie mógł tak ryzykować. Jeżeli ta sprawa jest prowadzona przez Departament Bezpieczeństwa, to bank nie mógłby zachować milczenia w tej sprawie. Myślę, że Heaton nadal ma je przy sobie. Przypuszczam też, że przyjechał tutaj, aby odnaleźć Martina i jemu przekazać te dokumenty.

— Ale go nie znalazł — dokończyła Rosie.

— Może ukrył akta w jaskini? — dodałam.

— Dlaczego w jaskini, Franco? — zaśmiał się Col.

— Martin opowiedział mi o górze, na którą zwykł się wspinać z ojcem. Pewnego dnia odkryli tam jaskinię. Ale zgadzam się, że to tylko jedna z możliwości, mało zresztą prawdopodobna.

— Gdzie jest ta góra? — zapytał z zainteresowaniem.

— W Cheviot, to następna góra za ulubionym szczytem Rosie.

Col spojrział na swoją nową miłość.

— Twoja ulubiona góra? Jak się nazywa?

— Przypuszczam, że Franco ma na myśli Dzwon Tęsknoty — odparła.

— Gdybyśmy tylko mogli odnaleźć Martina! — pomyślałam na głos.

— Możemy spróbować w Hexham — zaproponowała Rosie. — Może to był jednak on — ten mężczyzna, którego wtedy widziałyśmy.

— Ale co zrobimy z Gilesem? — przypomniał Col.

— O, do diabła! — krzyknęła Rosie. — On jest przecież w Calderwood i czeka na nasz powrót! Col, nie chcę widzieć tego człowieka!

— W porządku. Powiem wam, co zrobimy. Zadzwońię do hotelu i zawiadomię Sally, że zdecydowaliśmy się tutaj spędzić noc. Podam jej nawet nazwę hotelu. Po pewnym czasie zadzwonimy jeszcze raz i dowiemy się, czy Giles jest wciąż w hotelu. Jeśli nie, będzie to oznaczać, że jedzie tutaj. Jak wam się podoba?

— Col, przecież on nas tutaj znajdzie — zwróciła mu uwagę Rosie.

— Ależ nas już tu nie będzie!

— Rozumiem — powiedziałam. — Zostaniemy tu jeszcze przez godzinę i kiedy zadzwonimy i dowiemy się, że Giles wyjechał — wrócimy do Calderwood. Tak?

— Niezupelnie, Franco — zaprzeczył Col. — On przecież może wrócić do Calderwood i to jeszcze tej nocy. Dlatego zrobimy tak: zostaniemy tu jeszcze godzinę i zadzwonimy ponownie do Sally. Jeżeli powie, że „teren jest czysty” — pamiętajcie, ona myśli, że Giles jest byłym mężem Rosie — to pojedę, zabiorę wasze bagaże i spotkamy się gdzieś w miejscu, które ustalimy. Wy pojedziecie potem do innego hotelu, zadzwonicie do mnie i podacie adres. Spotkamy się tam jutro rano. Zgadzasz się, Rosie, moja kochana?

— Nie mam wyjścia — odparła. — Jestem już tym wszystkim śmiertelnie zmęczona.

## Rozdział V

Pani Entwhistle ucieszyła się na nasz widok. Uwierzyła też w historyjkę o zepsutym samochodzie, którego naprawa trwała tak długo, że nie miałyśmy sił jechać dalej; to ostatnie było zresztą prawdą. Oczywiście, zgodziła się z radością przyjąć nas pod swój dach.

Miło było znowu widzieć tych sympatycznych ludzi, którzy tak dbali o swoich gości. Pani Entwhistle przyrządziła nam kolację, jej mąż zajął się Snowmanem. Dostałyśmy ten sam pokój, co podczas poprzedniej wizyty i zaraz po kolacji udałyśmy się na spoczynek.

Cały następny rano czekałyśmy na Cola, który miał dołączyć do nas najpóźniej o dziewiątej. Dochodziła jedenasta, a jego jeszcze nie było. Przez ten czas zdążyłyśmy wyobrazić go sobie martwego, leżącego gdzieś na drodze albo torturowanego w londyńskiej Tower.

— Gdzie byłeś? — spytała Rosie, zarzucając mu ręce na szyję, gdy tylko wysiadł z samochodu.

— Wszystko ci wyjaśnię — odpowiedział. — Gotowe do wyjazdu?

— Tak, ale najpierw musisz wejść i poznać państwa Entwhistle — pociągnęła go do środka.

Wizyta Jankesa była prawdziwym wydarzeniem dla naszych gospodarzy. Opowiedział im o Ameryce, krainach leżących za kołem polarnym i tym podobnych miejscach, przez cały czas jedząc ciastka i pijąc wspaniałą herbatę. Wyjechaliśmy dopiero w porze lunchu obiecując, że odwiedzimy ich, kiedy tylko będziemy znowu w okolicy. Pojechaliśmy do Hexham, gdzie zatrzymaliśmy się w miłym i przytulnym lokalu.

— Ten facet wrócił — relacjonował Col. — Nie wiadomo kiedy, w każdym razie rano już był. Nie znam go i on mnie nie zna, ale przyłapałem go na tym, że przyglądał mi się podczas śniadania. Pomyślałem, że uspię jego czujność, spędzając z nim trochę czasu. Zaprosiłem go do mojego stolika i opowiedziałem o swoich planach na dzisiejszy dzień. Oznajmiłem, że wybieram się do Newcastle, aby

spotkać jednego z moich przyjaciół, dziennikarza. Dodałem, że wyjeżdżam zaraz po śniadaniu.

— Czy pojechał za tobą? — spytałam.

— Oczywiście, że tak. A swoją drogą, w Newcastle ciężko jest kogoś zgubić. Jak tylko się go pozbyłem i wyjechał z miasta, jak na skrzydłach pogałem do mojej miłości. Rosie, po tym co zrobiłem, powinnaś wyjść za mnie. Jestem księciem, który ocalił cię przed dzikim i podstępny zbójem.

— Zgoda! — odparła Rosie.

Spojrzał na nią niepewny, jak ma rozumieć jej odpowiedź.

— Naprawdę, Rosie? — spytał.

— Tak — powtórzyła i dodała: — Chętnie wypiłabym jeszcze jedną kawę.

Wiedziałam, że jest wiele dziwacznych sposobów składania i przyjmowania oświadczeń, ale ten bił wszystkie na głowę. Wychodząc z restauracji Rosie powiedziała: — Col, porozmawiamy jeszcze o tym. Musimy najpierw połączyć to dziecko z obiektem jej miłości — wskazała, uśmiechając się, na mnie.

— Oczywiście, kochanie — przetaknął. — Franco, czy to gdzieś tutaj widziałas tego człowieka podobnego do Martina?

— Nie, nie tutaj. To było bliżej Market Street, niedaleko opactwa.

— W takim razie chodźmy tam. Nigdy nie wiadomo, gdzie można znaleźć rozwiązanie.

Poszliśmy więc w stronę opactwa, bacznie przypatrując się przechodniom, ale oczywiście nie spotkaliśmy nikogo podobnego do Martina. Staliśmy przed opactwem, rozglądając się bezradnie dookoła, aż wreszcie zniecierpliwiony Col zaproponował: — Skoro już tu jesteśmy, może weszli-byśmy do środka, żeby po raz ostatni spojrzeć na to cudowne wnętrze?

— Idźcie we dwójkę, ja tu na was poczekam — powiedziałam.

By nie stać beczynnym, postanowiłam pospacerować sobie wzdłuż ulicy; trochę mnie to uspokoiło. Gdy przechodziłam obok małego domku



prawdopodobnie należącego do opactwa, natknęłam się na mężczyznę, który właśnie z niego wychodził. Spojrzał na mnie i zapytał:

— Czy mogę w czymś pani pomóc?

Był całkiem młody, miał miłą twarz i jasnoniebieskie oczy.

— Szukam kogoś — odpowiedziałam. — Niedawno widziałam go niedaleko stąd, więc myślałam, że może...

— Kiedy to było? — spytał.

— Jakiś tydzień temu.

— Pani jest tu na wakacjach?

— Tak — odparłam, modląc się w duchu, aby już sobie poszedł.

— I pani nie wie, gdzie ten mężczyzna się zatrzymał? — pytał dalej.

— Nie mam pojęcia — nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. —

Może pan go spotkał? Ma kasztanowe oczy i włosy...

— A na imię Martin — dokończył. Zaniemówiłam na chwilę.

— Pan go zna?

— Jeżeli ma pani na myśli Martina Heatona, to tak. Wydaje mi się, że się nie mylę — pani Frances Thorne, prawda?

— Na Boga! Gdzie on jest? Proszę mi powiedzieć! Tak się o niego martwimy!

W tym momencie nadeszli Rosie z Colem, przyglądając się ze zdumieniem mojemu rozmówcy.

— To moja ciocia, pani Champion — przedstawiła Rosie młodemu mężczyźnie. — I nasz przyjaciel, Colbert Rogers. A to pan... nie wiem, jak się pan nazywa?

— Bardzo przepraszam, powinienem był się przedstawić. Nazywam się John Heaton i jestem kuzynem Martina. Mieszkam tuż obok opactwa. Martin zobaczył panią przez okno. Jeśli zechcieliby państwo udać się ze mną...

Martin chwycił mnie w ramiona i trzymał tak, jakby nie chciał, abym kiedykolwiek odeszła.

— Och, Martin! — wykrzyknęłam. — Byłeś tu przez cały czas?

— Nie miał wyjścia — odpowiedział za niego John. — Przez cały

zeszły tydzień, a dokładnie pięć dni, leżał w łóżku i kurował swoją nogę. Teraz<sup>^</sup> jest już lepiej, ale z początku bardzo go bolała.

Mój ukochany przywitał się z Rosie i uściskał dłoń Colowi.

— Czy są jakieś wiadomości o moim ojcu? — spytał. — John właśnie szedł kupić gazetę, ale może wy już coś wiecie?

— Mamy gazetę, ale nie ma tam nic na temat twojego ojca — odrzekła Rosie.

Pojawiła się wysoka, potężna kobieta, jak się okazało — gosposia. John poprosił ją o podanie rogalików i herbaty.

— Usiądźmy — zwrócił się do nas i dodał przepraszająco: — Ten pokój przypomina poczekalnię dworcową. Może przejdziemy do bawialni.

John Heaton nie był specjalnie podobny do Martina. Miał niebieskie oczy, kręcone włosy, był niewysoki, krępy. Na jego twarzy często gościł uśmiech. Zastanawiałam się, czy cała rodzina Heatonów jest równie sympatyczna.

Bawialnią była obszernym pomieszczeniem, którego umeblowanie składało się z chaotycznie poustawianych foteli i sof. Pod oknem dostrzegłam krzesło — tam zapewne siedział Martin w chwili, kiedy mnie zobaczył. Podeszłam do niego i usiadłam, a Martin stanął obok, ujmując moją dłoń. Nareszcie był przy mnie! Poczulałam się szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Gospodyni wróciła, niosąc na tacy herbatę, rogaliki i małe ciasteczka. Rosie zaproponowała, że będzie czynić honory domu i naląła wszystkim herbatę, a John — poprosił, byśmy zwracali się do niego po imieniu — częstował rogalikami.

— Opowiedzcie mi, co robiliście? Czy zwiedziłyście wszystkie miejsca, które chciałyście zobaczyć? — dopytywał się Martin.

— To raczej ty opowiadaj! Dlaczego nie dałeś znaku życia? Czyżbyś nam nie ufał? Czy wiesz, jak bardzo niepokoiłyśmy się o ciebie?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Obawiałem się, że ktoś może was śledzić, dlatego nie chciałem

ryzykować spotkania z wami. Bardzo pragnąłem wam wszystko wyjaśnić, ale nie miałem wyjścia. Ponadto odnowiła mi się kontuzja; właściwie można powiedzieć, że zwichnąłem nogę po raz drugi.

— Gdzie? W jaki sposób?

— Obawiam się, że przez własną głupotę. Udałem się na poszukiwanie ojca; czułem, że znajdę go gdzieś w okolicach Cheviot. Jest tam mnóstwo jaskiń, o których wie niewiele osób. Badaliśmy je razem, kiedy byłem małym chłopcem. Podczas wspinaczki potknąłem się, poturlałem się w dół i przy okazji znowu uszkodziłem kostkę. Całe szczęście, że znaleźli się tam jacyś turyści, którzy mi pomogli. Przez kilka dni leżałem w szpitalu. Potem Hester i John zabrali mnie tutaj i pielęgowali. Zapomniałem przedstawić was. Hester to gospodyni Johna. Jest wspaniałą kucharką i pielęgniarką. Jestem pewien, że tylko dzięki jej masażom mogę chodzić. Ale powiedzcie mi wreszcie, co wiecie o moim ojcu?

— Ciągle nie wiadomo, gdzie on jest, Martin — odparłam i popatrzyłam na Rosie.

— Col, powiedz mu — poprosiła. — Opowiedz mu o naszych przypuszczeniach.

Col zrelacjonował wszystko po kolei. Wspomniał też o tym, że widział pana Heatona pracującego przy wykopaliskach, ale nie mógł jeszcze wtedy wiedzieć, że to właśnie on.

— Dobrze wyglądał? — spytał Martin.

— Tak — zapewniłam. — Col nawet go narysował. Gdzie masz ten szkic, Col?

— W samochodzie. Pokażę ci, zanim odjedziemy.

— A jak teraz się czujesz, Martin? — zapytała Rosie.

— Och, z moją nogą już wszystko dobrze. Niedługo będę mógł znowu wspiąć się po górach. To było okropne — siedzieć tu i nie móc nigdzie pójść, tylko zamartwiać się, czy ojcu nie przytrafiło się coś złego.

— Może wiesz coś o facecie nazwiskiem Giles? — zapytał Col.

— Nie znam nikogo o tym nazwisku.

— Czy kontaktowałeś się z matką?

— Przysłała mi list przez jednego z przyjaciół; doręczył mi go tutaj. Napisała, że nie ma pojęcia, o co chodzi, ale przypuszcza, że jej telefon jest na podsłuchu i prosi, żebym do niej nie dzwonił.

— Ale dlaczego? — zdziwił się Col.

— Jeżeli zniknięcie ojca ma coś wspólnego z... no, cóż, jakąś aferą zagraniczną, to nic dziwnego, że interesują się nim. Ale ojciec nie mógłby wpłatać się w coś podobnego. Ręczę za to!

— Może to ludzie nie ze Służb Specjalnych podążają jego śladem? — zasugerował Col. — Może to Giles na własną rękę śledzi twojego ojca i nikt nie kazał mu tego zrobić? Co o tym sądzicie?

— To chyba niemożliwe — stwierdził Martin i uśmiechnął się smutno. — Musiał mieć specjalną zgodę na założenie podsłuchu, inaczej nie mógłby tego zrobić.

— Sprawdziłam go — wtrąciła Rosie. — Z całą pewnością działa na polecenie Departamentu Bezpieczeństwa.

Opowiedziała Martinowi o naszej scysji z Gilesem, a on roześmiał się z uznaniem.

— Od początku wiedziałem, że jesteś wyjątkową osobą, Rosie. A tak na marginesie, co się stało z tym owczarkiem, przez którego rozbiłaś samochód?

Czy znalazłyście jego właściciela?

— Odpowiem ci za chwilę — odparła Rosie i poszła po Snowmana.

Łasił się do Martina, jakby nie widział go ze sto lat.

— Chciałbym mieć takiego psa — zwrócił się mój ukochany do Rosie.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? — spytała.

— Oczywiście, tyle mam mu do zawdzięczenia!

Gdyby nie on, nigdy nie spotkałbym ciebie i Frances.

— Ani nie straciłbyś roweru — dodałam.

— To było tego warte — odrzekł, spoglądając mi w oczy.

John przywrócił nas do rzeczywistości.

— Zastanówmy się moi drodzy, gdzie może być teraz ojciec Martina!

— Nie znamy pana Heatona — zauważył Col. — Trudno nam zgadywać — gdzie mógł się podziać. Ty, Martin, powinieneś mieć jakieś pomysły. Znasz go. Gdzie mógłby pójść, gdyby chciał się ukryć?

— Mógłby pojechać do Cheviot — odrzekł. —

Tam właśnie zamierzam się teraz udać. Na pewno już bym go odnalazł, gdyby nie ten wypadek w górach.

— Pokażę ci szkic, który zrobiłem przy Rzymskim Murze — przypomniał sobie Col i przyniósł rysunek.

Martin spojrział na szkic i to poruszyło go do głębi. Widać było, że stara się powstrzymać łzy. Oddał rysunek Colowi.

— Tak, to mój ojciec — potwierdził.

— Może poszukalibyśmy go dziś po południu? — zaproponował Col.

— Chcesz iść ze mną? — zapytał Martin.

— Oczywiście! Wspinałem się trochę po górach. Bardzo bym chciał spróbować wejść na Cheviot.

— W takim razie jedźmy tam! — zdecydował Martin.

Godzinę później byliśmy już w drodze do Kirknewton.

Po krótkiej dyskusji ustaliliśmy, że ja z Martinem pojedę citroenem, a Rosie z Colem jego samochodem. Snowman trafił do nich. Ten podział z różnych względów odpowiadał wszystkim.

Martin okazał się jednym z bardziej gadatliwych pasażerów jakich znałam.

— Och, Franco! — mówił. — Zaczynałem już myśleć, że się więcej nie zobaczymy. W wyobraźni widziałem cię wracającą do domu, a przecież nie znałem twojego telefonu, nazwiska ojca, niczego. Ty przecież też nie znałaś mojego adresu, prawda? A nawet jeśli — to nie miałem zbyt wiele nadziei, że do mnie zadzwonisz. Szczególnie po tym, jak wyjechałem bez pożegnania, w środku nocy. Nie odnalazłbym ciebie nigdy!

Myślałem, że wszystko stracone i wtedy nagle pojawiłaś się w Hexham!

— Zapomnijmy o tym wszystkim, Martin — uśmiechnęłam się. — Jesteśmy razem: tylko to się liczy.

Mogę sobie wyobrazić, co czuła Rosie, kiedy skręciliśmy do Kirknewton i zobaczyliśmy drogowskaz z napisem „Yearning Bell”!

— Tam właśnie zmierzałyśmy, kiedy zgubiłyśmy się owej pamiętnej nocy — przypomniałam.

— Powinnyście wiedzieć, że „Dzwon Tęsknoty”<sup>^</sup> góra.

— No cóż, nie wiedziałyśmy. Rosie chciała tam pojechać, bo zafascynowała ją ta nazwa. Ma obsesję na punkcie dziwacznych nazw. Było warto. Ten szczyt wygląda naprawdę fantastycznie.

— Będziemy się wspinać na sąsiedni — powiedział. — Najpierw dotrzemy do Kirknewton, a stamtąd wyruszymy w góry. Mam kuzyna w Kirknewton, on pożyczy Colowi odpowiednie ubranie. A właśnie, opowiedz mi, jak go poznałyście!

Opowiedziałam o Colu, wychwalając go, jak tylko mogłam. Wspomniałam też, że jest autorem kryminałów.

— Ma bzika na punkcie twojej ciotki! — zauważył.

— A kto by nie miał? — odparła. — Musisz przyznać, że jest wyjątkowo uroczą kobietą.

— Och, tak, jest fascynująca, ale nie pogniewasz się, jeśli powiem, że wolę ciebie?

— Lepiej, żeby tak było! — ostrzegłam go.

— Gdybyś nie prowadziła, wziąłbym cię w ramiona i to udowodnił!

— Będiesz jeszcze miał okazję! A wracając do mojej kochanej ciotki, to wydaje mi się, że ją kocha i myślę, że ona za niego wyjdzie.

— Naprawdę? Tak, wygląda na to, że bardzo go lubi. Więc myślisz, że porzuci pracę i wyjedzie z nim do Ameryki?

— Bardzo możliwe. Co prawda Col powiedział, że chętnie pozostałby w Anglii...

— Czy on jest bogaty?

— Gdybym podała ci jego pseudonim literacki, nie zadawałbyś takich pytań. Ale mam milczeć jak grób.

— W porządku. Sam go o to spytam. Czy myślisz, że zabiorą psa ze sobą?

— Podejrzewam, że jeżeli ją o to grzecznie poprosisz, pozwoli ci go zatrzymać.

Zjedliśmy lunch w Kirknewton, a potem pojechaliśmy do kuzyna Martina, Denisa. Mieszkał z żoną i dwoma synami na farmie, z której rozpościerał się cudowny widok na góry. Przyjęli nas z otwartymi ramionami oświadczając, że wszyscy przyjaciele Martina są ich przyjaciółmi. Zjedliśmy z nimi podwieczorek, a Denis zagadnięty przez Martina o sprzęt dla Cola, odpowiedział natychmiast: — Oczywiście, zaraz wszystko przygotuję. Lepiej chodź ze mną Col. Sprawdzimy, czy moje rzeczy będą na ciebie pasować.

Martin dołączył do nich, a Diana, żona Denisa wyszła ze mną do ogrodu.

— Jesteś z Londynu? — zapytała. Uśmiechnęłam się.

— Zgadłaś. To mój akcent, prawda?

— Miałam przyjaciółkę, która mieszkała w Chelsea. Pochodzisz gdzieś stamtąd?

— Nie, mieszkamy w Twickenham, niedaleko Richmond.

— Twickenham! To pewnie możesz oglądać mecze rugby przez okno sypialni?

— Na całe szczęście, nie! Zupełnie nie interesuję się rugby. Nawet nie byłam nigdy w życiu na żadnym meczu. Nie interesuję się też piłką nożną. Ojciec zabrał mnie kiedyś na mecz Arsenalu — to jego ulubiona drużyna — przez pierwszą połowę zastanawiałam się, po co tam jestem, a przez drugą — umierałam z nudów.

— Martin gra czasem w rugby, wiesz?

— Wspominał o tym — odpowiedziałam. — Prawdę mówiąc, nie znamy się zbyt długo. Jest jeszcze tyle rzeczy, których o nim nie wiem!

— To, jak długo się znacie nie jest takie ważne. Och, nie chcę się

wtrącać! Przepraszam, wybacz mi. Ale to widać od razu, że jesteście w sobie zakochani. Nie widziałam, by Martin kiedykolwiek był tak szczęśliwy. Jeśli jeszcze odnajdzie swego ojca, będzie w siódmym niebie.

Z domu wyszła Rosie i zawołała: — Chodźcie zobaczyć Cola! Wygląda, jakby miał wyruszyć na Mount Everest.

Weszliśmy do domu, aby pożegnać się z naszymi chłopcami.

— Czemu jesteś taka smutna? — zagadnął mnie Martin. — Coś mi się wydaje, że miałabyś ochotę iść z nami!

— Zgadłeś — odparłam. — Bardzo chciałabym pójść z tobą. Wspiniałam się trochę w północnej Walii i całkiem nieźle mi szło. Proszę cię,

Martin, weźcie mnie ze sobą! Czekają was, być może długie poszukiwania, każda para oczu może się przydać!

— Franco, czy jesteś absolutnie pewna, że dasz sobie radę? Nie będziemy mogli zatrzymać się, aby poczekać na ciebie, nie będzie na to czasu. Pozostały tylko cztery godziny do zapadnięcia zmroku. Czy jesteś pewna, że jesteś w stanie iść?

Spojrzałam na góry, widoczne w oddali.

— Nie wspinam się tak dobrze jak wy, ale jestem uparta, wiesz o tym, Martin.

— Mimo wszystko nie wiem, czy to dobry pomysł. Nie mógłbym znieść myśli, że pozwoliłem ci iść z nami, gdyby zdarzyło się coś złego!

— Tracisz czas, Martin! — odpowiedziałam stanowczo.

— W takim razie — zgoda! — poddał się. — Ale jeśli będziesz sprawiać jakieś kłopoty, zrzucę cię do najbliższego wąwozu.

Diana pożyczyła mi swój strój do wspinaczki. Jej buty były trochę na mnie za duże, ale nie miałam wyjścia. Nie mogłam przecież iść w pantoflach.

Wyruszyliśmy o czwartej po południu. Słońce przygrzewało mocno. Podejście na początku było łatwe. Szliśmy trawiastą ścieżką, gdzieniegdzie porośniętą wrzosem. Dopiero wyżej zaczęły się kamienie.



Zrobiliśmy krótki postój, aby wzmocnić się czekoladą i wypić nieco herbaty z termosu. Widok był fantastyczny — pełne cieni tajemnicze doliny, z widocznymi tu i tam domkami malutkimi niczym chatki dla lalek. Usiadłam obok Martina i pomyślałam, że już od dawna nie byłam tak szczęśliwa, jak w tej chwili. Spojrzał na mnie i wydawało mi się, że odgadł moje myśli. Ujął moje dłonie i pocałował je.

- Chodźmy już — powiedział po chwili wstając.

Col, pochłonięty oglądaniem widoków, odwrócił się do nas z uśmiechem.

— Żałuję, że nie byłem tu wcześniej — oświadczył.

— Zawsze możesz przyjechać tu znowu. Mam przyjaciela, nazywa się Peter Haydon. Jego rodzina pochodzi stąd, z małej miejscowości leżącej niedaleko Newcastle. Prosił mnie, wiedząc, że jadę, do Anglii, abym odwiedził jego dziadka. Miałem mu przekazać kilka zdjęć rodziny Petera i opowiedzieć o niej. Najsmutniejsze jest to, że kiedy odnalazłem wreszcie dom Haydonów, dowiedziałem się, że dziadek zmarł przed tygodniem.

— To smutne, Col! Przypuszczam, że ta wiadomość dotarła już do twojego przyjaciela.

— Tak. Zawiadomiono go natychmiast. Ja, oczywiście, też do niego napisałem.

— A potem zdecydowałaś się zwiedzić całą okolicę?

— Tak, chciałem zakończyć wyprawę Colderwood. Najbardziej ciekawił mnie ten Rzymski Mur; zamierzałem go zobaczyć i wracać. No, ale spotkałem was...

Posuwaliśmy się powoli do góry. Martin prowadził, Col szedł ostatni.

— Jest trochę ślisko — odezwał się Martin. — Trzeba bardzo uważać. Po deszczu często tworzą się tu rozpadliny, wtedy wędrowka po górach robi się naprawdę niebezpieczna. Można potknąć się i wpaść do okropnej dziury. Idźcie dokładnie za mną, nie skręcajcie ani w prawo, ani w lewo.

— Jak daleko jeszcze do szczytu? — spytał Col.

— Około stu stóp. Od tej chwili rozglądajcie się uważnie. Jaskinia, o której mówiłem, znajduje się mniej więcej sto jardów stąd. Kiedy znajdziemy się blisko niej, podniosę rękę. Wtedy się zatrzymamy.

— Tak jest! — zawołaliśmy zgodnie. Martin zaśmiał się.

— Nikt nie chce wracać na dół?

— Nie — odparłam, a Col dodał: — Przypomnij mi, abym zapisał to pytanie w moim notatniku.

Podejście stało się teraz niezwykle trudne. Z każdym jardem droga robiła się coraz bardziej stroma. Poczulałam zmęczenie.

Nie rozmawialiśmy już; zbyt wiele wysiłku wkładaliśmy we wspinaczkę. W pewnej chwili Martin podniósł dłoń i stanęliśmy.

— Już myślałem, że to nigdy nie nastąpi — wysapał Col.

Obydwoje staraliśmy się złapać oddech. Martin odwrócił się do nas.

— Zostańcie tutaj, a ja się rozejrzę. Pod żadnym pozorem nie idźcie za mną. Jeśli będę was potrzebował — zagwiżdżę. I błagam was, bądźcie ostrożni. Uważajcie na każdy krok! Wszędzie tutaj pod powierzchnią ziemi mogą być nory i jaskinie. Właśnie zauważyłem jedną, której nie było tu ostatnim razem.

— Tak jest! — zawołaliśmy znowu. Martin uśmiechnął się i dodał: — Odpocznijcie na tych skałach.

Obserwowaliśmy, jak się wspinał; potem skręcił w prawo i zniknął nam z pola widzenia.

— Możemy zjeść trochę miętowych ciasteczek, jeśli masz ochotę — zaproponowałam Colowi. — Są w plecaku.

— Miętowe ciasteczka? Wydaje mi się, że nigdy ich nie jadłem?

— Nigdy? No, to miałeś wyjątkowego pecha! Wyjęłam ciasteczka z plecaka i podałam mu kilka. Bardzo mu smakowały i zjadł ich sporo. Zrobiło się zimno i cieszyłam się, że mam na sobie ciepłe ubranie Diany.

— Nie jest ci zimno? — zapytałam Cola.

— Nie, wszystko w porządku. A tobie? Zanim jednak zdążyłam odpowiedzieć, usłyszeliśmy gwizd.

Chodźmy! — pociągnęłam go za rękaw.

Zaczeliśmy wspinać się tą samą drogą, którą szedł Martin. Znaleźliśmy go stojącego obok wielkiego głazu, wznoszącego się nad szemrzącym, górskim strumykiem.

— To nasza jaskinia — powiedział. — Potrzebuję waszej pomocy. Musimy odsunąć ten kamień, żeby wejść do środka. Musiał stoczyć się tutaj ze szczytu podczas burzy. Czy mógłbyś chwycić go z jednej strony, Col? Ja złapię z drugiej.

— Już się robi.

Spróbowali przesunąć kamień, ale ten nawet nie drgnął. Był zbyt ciężki.

— Gdybyśmy mieli coś, żeby go podważyć... — powiedział Martin.

Wspięłam się trochę wyżej. Leżało tam więcej kamieni. Szukałam takiego, którego moglibyśmy użyć do podważenia głazu długiego i niezbyt grubego.

— Zejdz na dół, Franco, tylko bądź ostrożna. Odkrzyknęłam: — Szukam jakiegoś „lewarka” Martin!

W końcu znalazłam odpowiedni kamień i zaczęłam schodzić, gdy nagle usłyszałam strzał. Instynktownie padłam na ziemię i schowałam się za skałę. Byłam niewidoczna od strony jaskini, ale też nie widziałam żadnego z moich towarzyszy.

Wyjrzałam ostrożnie. Przed Colem i Martinem stał jakiś mężczyzna, trzymając w ręku pistolet. Nie mogłam usłyszeć, co mówi — byłam zbyt daleko — ale widziałam, że wskazywał pistoletem na jaskinię. Martin odpowiedział mu, a potem Col zrobił krok do przodu i zaczął coś tłumaczyć. Nie zwracając na niego uwagi, mężczyzna krzyknął: — Podnieście ręce — obaj!

I wtedy, gdzieś z lewej strony, rozległ się stukot spadających kamieni. Serce zabiło mi mocniej. Tam musiał być jeszcze jeden człowiek! Podniosłam ostrożnie głowę, patrząc w tamtą stronę. Zza innej sterty kamieni wyglądała twarz, która wydawała mi się znajoma. Po kilku chwilach przypomniało mi się, gdzie ją widziałam.

Podczołgałam się i wyszeptałam: — Więc jednak znaleźliśmy pana, panie Heaton!

— Czekałem tu na Martina — wyjaśnił.

— Więc on wie, że pan tutaj jest?

— Domyślał się, że gdybym był w niebezpieczeństwie, schroniłbym się właśnie tutaj. Spodziewałem się go już od ładnych paru dni.

— Martin zwichnął nogę podczas wspinaczki. Nie mógł chodzić przez cały tydzień.

— Domyślałem się, że przytrafiło mu się coś podobnego. Byłoby to lepsze, niż gdyby go złapali.

— Wygląda na to, że teraz im się udało. Co zrobimy, panie Heaton?

— Jak się nazywasz? — zapytał. — I co tutaj robisz?

— Jestem znajomą Martina — odpowiedziałam. — Może mi pan zaufać. — Co pan robił przy wykopaliskach?

— O, widzę że sporo wiesz. Szukałem tam jednego z moich przyjaciół. To było niebezpieczne, ale musiałem zaryzykować. Mam coś, co muszę komuś przekazać, rozumiesz? Jak się nazywasz?

— Frances, Frances Thorne. Co zamierza zrobić te uzbrojony facet?

— On chce się dostać do jaskini — odparł. — Myśli, że ja tam jestem.

— Pan go zna?

— Tak. Widziałem jak nadchodzi, opuściłem jaskinię i ukryłem się tutaj. Przesunąłem ten kamień, aby zastawić wejście. Ale, niestety, nie zauważyłem Martina. Całe szczęście, że gwizdnął; po tym go poznałem. Czekałem więc mając nadzieję, że zauważy w porę tamtego mężczyznę i będzie mógł ukryć się przed nim. Ale ten facet okazał się sprytniejszy, niż przypuszczałem. Wdrapał się na szczyt i zobaczył go wcześniej, niż on jego. Widziałaś go? Co on robił?

— Kiedy widziałam go ostatnio, z tamtego miejsca wskazywał pistoletem na jaskinię. Chciał, by odsunąć kamień zagradzający wejście. Ale jest zbyt duży, oni go nie ruszą z miejsca. Dlatego zresztą znalazłam się tutaj — szukałam „lewarka”.

— Dobry pomysł. Znalazłaś?

— Tak — zostawiłam go za tamtymi kamieniami.

— Cicho! Słuchaj! — syknął ostrzegawczo. Usłyszałam odgłos czyichś kroków. Zbliżały się do nas. Nie musiałam patrzeć, aby wiedzieć, że to ten facet z pistoletem. Zawrócił jednak, nie dochodząc do miejsca, w którym leżeliśmy.

Heaton odezwał się cicho: — Gdybym zdołał wdrapać się na górę, mógłbym rzucić w niego kamieniem, ale ten numer nie przejdzie. Usłysz mnie. Zaczekaj chwilkę. Słyszysz? Próbują rozłupać kamień!

Rozległ się taki hałas, jakby rozpadały się całe góry. Stuk! Stuk! Stuk! Pomyślałam, że mogę korzystając z tego wrócić na poprzednie „stanowisko”!

Powiedziałam: — Spróbuję skryć się za tamtymi kamieniami. W żadnym razie mnie nie usłyszysz — robią straszny rumor!

— Nie, nie ma mowy. Jeden ryzykuje i to w zupełności wystarczy. Zostań tutaj i nie ruszaj się.

Zaczął wybierać kamienie. Przez chwilę ważył je w dłoni, szukając odpowiednich. Wreszcie zaczął się wspinać, ale akurat w tym momencie hałas ucichł.

— Cholera! — wyszeptał. — Poczekamy jeszcze.

Wydawało mi się, że upłynęły całe wieki. Żaden dźwięk nie dochodził od strony wejścia do grotty.

— Czy myśli pan, że rozłupali już kamień? — spytałam cichutko.

— Ten kamień da się z pewnością rozłupać, ale jeśli mają trochę rozumu, to nie będą tamtemu ułatwiać wejścia do jaskini. Czemu jednak nie poszukają lewara?

— Może właśnie to robią — zasugerowałam.

— Nie, on nie pozwoliłby im oddalić się. Prawdopodobnie po prostu odpoczywają. Pewnie za chwilę znowu zaczną walić.

Miał rację. Po chwili przerwy Martin z Colem wrócili do obtłukiwania głazu.

— Gdzie ten kamień, który znalazłem? — spytał. — Posłuchaj; jeśli

mnie lekko podsadzisz, będę mógł im pomóc! Dasz radę? Ale, na litość boską, on nie może nas spostrzec! A tak na marginesie, od kiedy wy z Martinem się znacie?

— Od niedawna, ale... — zaczerwieniłam się.

— No, wydaje mi się, że czegoś się domyślam! — powiedział. — Ale będziemy jeszcze mogli wrócić do tego. Teraz ruszam. Przytrzymuj mnie, żebym się nie stoczył, tak długo jak dasz radę. Jeśli mi się nie uda, nie ruszaj się stąd. Zrozumiałaś?

— Tak — kiwnęłam głową. Staralam się nie myśleć o Martinie, będącym tak niedaleko, zaledwie o kilka kroków i facecie, który celował do niego z pistoletu.

— Teraz! — szepnął Heaton. Podtrzymałam go, a on powoli zaczął się wspinać. Spod jego butów wprost na mnie obsuwały się małe kamyczki, na szczęście żaden z nich mnie nie zranił. Po upływie jakiegoś czasu, który wydawał się całą wiecznością, Heaton znalazł się na szczycie. Spojrzał w dół i powiedział: — Schowaj się, Frances!

Podniosłam kamień, trzymając go mocno w zaciśniętej dłoni.

Nagle upadł. Hałas dochodzący z dołu był tak wielki, że nawet nie usłyszałam strzału. Spadł głową w dół na kamienie. Nastąpiła cisza, a potem usłyszałam głos Martina: — Zostaw go w spokoju! Ty świni!

„Co u diabła, tam się dzieje?” — pomyślałam. Uświadomiłam sobie, że z pewnością napastnikowi chodzi o ową rzecz, którą ojciec Martina chciał przekazać swemu przyjacielowi. A teraz leżał tam na dole pośród kamieni i ten bandzior przeszukiwał mu kieszenie! Dlaczego Martin i Col nie skoczą teraz na niego?! Nie może równocześnie pilnować ich i przeszukiwać Heatona! Podniosłam największy kamień, jaki zdołałam unieść, i najszybciej jak umiałam, wspięłam się na chroniące mnie do tej pory głązy. Odważyłam się na to, chociaż moich kroków nie zagłuszał już teraz żaden hałas. Trzeba było zrobić to szybko albo wcale. Tamten facet musiał mnie usłyszeć, bo kiedy wyjrzałam i podniosłam kamień, żeby w niego rzucić, on naciskał właśnie spust pistoletu, skierowanego prosto na mnie. Rzuciłam kamień i w tym samym momencie Martin

skoczył na bandziora. Napastnik upadł na ziemię i znieruchomiał.

Czym prędzej zeszedł na dół, a Martin objął mnie tak, jakby już nigdy nie zamierzał wypuścić ze swoich ramion.

— Co z twoim tatą? — zatroskałam się.

— Uderzył głową w kamień. Jest nieprzytomny. Musimy jak najszybciej zanieść go na dół. Co z tamtym, Col?

Col klęczał przy facecie z pistoletem.

— Nic mu nie będzie — oznajmił. — Zabierzmy twego ojca na dół. Ty złap go z jednej, a ja z drugiej strony.

— Nie, zniosę go na plecach — oznajmił Martin. — Będziesz potrzebował obu rąk. Weź pistolet, musimy go oddać policji.

Wspólnymi siłami umieściliśmy Heatona na plecach syna. Dla asekuracji przywiązaliśmy go do Martina sznurem wyjętym z plecaka. Następnie Col mocno skrepował wciąż nieprzytomnego bandytę.

— Możesz iść przede mną, Col? — poprosił Martin. — Będziesz badał drogę.

— W porządku.

Ruszyliśmy powoli i ostrożnie. Z niepokojem przyglądałam się Heatonowi. Nie wyglądał dobrze.

Nigdy nie zapomnę tej wędrówki. Nogi ugiwały się pode mną. Potknęłam się raz czy dwa, aż Martin ofuknął mnie: — Frances, uważaj na siebie! Mamy już wystarczająco dużo kłopotów! Patrz po prostu pod nogi, dobrze?

Ale nie mogłam się powstrzymać — musiałam obserwować twarz ojca Martina, co jakiś czas sprawdzać puls. Po prostu musiałam.

Raz Martin pośliznął się na mokrym kamieniu, którego nie zauważył nasz przewodnik. Col go podtrzymał, ale musiał użyć do tego całej swojej siły.

— Przepraszam, Martin — powiedział. — Nie wiem, jak mogłem nie zauważyć tego kamienia.

— Niektóre z nich przesuwają się dopiero wtedy, gdy się już przejdzie. Tu wszędzie jest pod spodem woda — odparł Martin.

Kiedy byliśmy już prawie na samym dole, zobaczyliśmy dwóch mężczyzn, wspinających się na szczyt. Jednego z nich rozpoznałam — był to Denis Heaton.

Martin zatrzymał się: — Idź do nich, Col. Powiedz im, że potrzebujemy noszy. Z Denisem jest Jack niech on po nie idzie. On szybko chodzi po górach.

Ułożyliśmy Heatona na ziemi, a Denis ukląkł przy nim i zbadał puls.

— Wszystko będzie w porządku, Martin — uspokoił kuzyna.

— Jest jeszcze jeden ranny facet, tam na górze. Powinienem ci o tym powiedzieć wcześniej... Próbował nas zastrzelić. Kiedy zejdziemy na dół, zawiadomię policję. Niech mnie szlag trafi, jeśli będę go taszczył na dół!

— Nikt od ciebie tego nie wymaga — zauważył Denis. — O, wraca Jack.

Mężczyźni przenieśli Heatona na nosze i nie tracąc czasu ruszyliśmy do wioski.

Martin objął mnie ramieniem i uściśnął.

— To moja dziewczyna — oznajmił z dumą. Byłam tak bardzo wzruszona, że łzy pojawiły się w moich oczach. Szybko wytarłam je wierzchem dłoni. Miałam nadzieję, że nikt tego nie zauważył.

Wieczorem poszliśmy odwiedzić ojca Martina, którego umieszczono w małej, prywatnej klinice. Siedział już na łóżku, a Martin zaniepokojony zapytał go:

— Czy przypadkiem nie powinieneś jeszcze leżeć, tato?

— Jeżeli dałam radę sam usiąść, to będę siedzieć. Te cholerne pielęgniarki traktują mnie, jakbym był dwuletnim dzieckiem.

Oczywiście Rosie i Col także przyszli do kliniki, lecz do sali, w której leżał pan Heaton, mogły wchodzić tylko dwie osoby. Weszliśmy pierwsi, a oni czekali na swoją kolej na korytarzu. Kiedy więc odniosłam wrażenie, że Heatonowie pragną na chwilę zostać sami, podniosłam się i powiedziałam: — Wyjdę i poczekam razem z Rosie i Colem na zewnątrz. Myślę, że chciałby pan porozmawiać w cztery oczy z Martinem.



Pan Heaton spojrział na mnie i uśmiechnął się.

— Tak, chciałbym zamienić z nim słówko sam na sam. To nie będzie długo trwało. Dziękuję za kwiatki, moja droga — i za wszystko inne też.

Schyliłam się i pocałowałam go w policzek, a następnie wyszłam do poczekalni.

Rosie podniosła się z ławki i zapytała: — Możemy tam wejść?

— Jeszcze nie. Heatonowie rozmawiają teraz w cztery oczy.

— Jak on wygląda? — spytała.

— Całkiem niezłe. Narzeka na pielęgniarki i nie chce leżeć. To zupełnie normalny stan — zażartowałam.

Po paru minutach z separatki wyszedł Martin, a Rosie i Col weszli do środka.

— Ciągle czuję w kościach tę naszą bitwę — stwierdził, masując sobie ramiona.

— Ja również!

— Potrzebujesz trochę więcej wspinaczki, żeby dojść do formy. Chociaż muszę przyznać, że wcale nie jest tak źle z tobą!

— Ach, Martin... — westchnęłam. Wziął mnie za rękę.

— A jak się czuje ten gangster? — przypomniałam sobie. — Czy też leży w tej klinice?

— Umieścili go w więziennym szpitalu, w Chettington. Obok jego łóżka siedzi sierżant, który tylko czeka, aż bandzior się obudzi i będzie mógł zeznawać. To prawdziwa świnią! Mam nadzieję, że dostanie dożywocie!

— Znałeś go?

— Nigdy wcześniej go nie widziałem. Jest z Newcastle, jego akcent na to by wskazywał. To niewiarygodne, tyle się dzisiaj wydarzyło! — mówiąc to, lekko się uśmiechnął.

— Dlaczego chciał zastrzelić twojego ojca? Powiedział wam? — wróciłam z uporem do tematu.

Ale Martin objął mnie, przyciągnął do siebie i pocałował w czoło.

— Nie mogę ci tego powiedzieć, moja kochana. Jeszcze nie teraz. Gdzie zatrzymacie się na noc?

— Nie wiem — wzruszyłam ramionami. — Przypuszczam, że jutro wrócimy do domu. Rosie musi zwrócić samochód do wypożyczalni w Lillington i odebrać z warsztatu swoje volvo.

— Myślisz, że już je naprawili?

— Tak, dzwoniła do nich wczoraj wieczorem.

— Nie mogłabyś zostać trochę dłużej? — spytał z nadzieją w głosie. — Moja matka przyjeżdża jutro i chciałyby cię poznać.

— W takim razie wrócę w niedzielę — zgodziłam się natychmiast.

Uśmiechnął się.

— Zamierzam poznać twoich rodziców tak szybko, jak to możliwe, Frances. Mam nadzieję, że mnie polubią. Jak myślisz?

— Martin! Czy to oświadczyły? Roześmiał się i przytulił mnie do siebie.

— Zauważyłem, że nie potrzebujemy takich rzeczy jak słowa, żeby się zrozumieć — odpowiedział. — Myślę, że oboje wiemy od dawna co do siebie czujemy. A resztą — to były oświadczyły. Od pierwszej chwili wiedziałem, że cię kocham. Od tamtej pamiętnej nocy. Pochyliłaś się nad tym nieszczęsnym rowerem, a potem podniosłaś głowę i... wtedy się zakochałem. Czy z tobą było podobnie, moje kochanie?

— Tak, tak — wyszeptalam.

Ujął moją dłoń i... w tym momencie wyszli z separatki Rosie i Col.

— Pacjent chce was ucałować na dobranoc — oznajmiła ciotka. — Idźcie więc, ale nie siedźcie długo. Zaraz rozlegnie się ten okropny dzwonek.

Heaton trzymając mnie za rękę wyszeptał: — Opiekuj się moim chłopcem, Frances. Zrób to dla mnie.

— Będę, proszę się nie martwić — obiecałam i pocałowałam go w policzek.

Miał senny głos; pewnie podali mu tabletki nasenne. Woleli mieć pewność, że przez resztę nocy będzie leżał spokojnie.

Martin uściśnął dłoń ojca i spytał z niepokojem: — Czy na pewno czujesz się lepiej, tato? Nie boli cię już głowa?

— Nie, wszystko w porządku, Martin. Idźcie już. Zamierzam się zdrzemnąć.

Wprost ze szpitala skierowaliśmy się na parking. Rosie, stojąc obok samochodu, powiedziała do Martina: — Zarezerwowaliśmy pokoje w hotelu w Wooler — dla nas wszystkich. Ale jeśli chcesz zanoćować gdzie indziej — nie ma sprawy.

— Dziękuję ci, Rosie, ale wrócę do Kirknewton. Denis zabierze mnie stąd samochodem. Powinien zaraz przyjechać. Spędzę tam noc i przyjadę do was rano. Jaki to hotel?

— Grand.

— Łatwo zapamiętać. W takim razie — do zobaczenia.

Schylił się i pocałował Rosie w policzek. Uściśnął dłoń Colowi.

— Dzięki za wszystko, Col.

Na końcu ucałował mnie na dobranoc.

Wsiadliśmy do samochodów. Kiedy odjeżdżaliśmy widziałam, jak Denis podchodzi do niego. Pomachali nam na pożegnanie.

— Gdzie jest Snowman? — zapytałam Rosie, gdy wchodziłyśmy już do hotelu.

— W moim pokoju. Śpi w swoim koszyku. Powiedziałam mu, że niedługo wrócimy, a on odparł, że to bez znaczenia.

— To dobrze — stwierdziłam. — Zauważyłam wczoraj, że bardzo lubi bawić się z dziećmi. Może wychowywał się w domu pełnym dzieci?

— Myślę, że pewnego dnia znowu będzie miał do dyspozycji dzieci, z którymi będzie mógł się bawić — zauważyła z uśmiechem Rosie. — Przypomniało mi się, że zamówiłam kolację na wpół do ósmej. Trochę się spóźnimy, ale nie tak bardzo — jeżeli się pospieszymy.

W czasie kolacji rozpamiętywaliśmy wydarzenia minionego dnia. Opowiedziałam Rosie całą historię jeszcze raz, bo do tej pory nie było czasu, żeby wyjaśnić wszystkie szczegóły.

— Och, Franco, umarłabym ze strachu, gdybym znalazła się w takiej

sytuacji! — zawołała, kiedy skończyłam.

— Zapewniam cię, że też się bałam!

Po posiłku poszliśmy do baru hotelowego na kawę. Rosie wyszła na minutkę przypudrować nosek, a Col poszedł po nasze drinki. Kiedy wrócił, spytał: — O czym myślisz, Frances?

— O niczym — odpowiedziałam. — Jestem po prostu zmęczona po tych wszystkich przeżyciach.

— To nie to, Franco. Mnie nie oszukasz. Pewnie chodzi ci o pana Heatona! Wyzdrowieje, przecież wiesz. To tylko kontuzja. Wyjdzie ze szpitala za tydzień.

— Nie martwię się o niego. Wiem, że wszystko będzie w porządku.

— A więc chodzi o Martina? Kiwnęłam głową.

— Nie wiem, co on zamierza zrobić, Col. Widziałeś, że pana Heatona nie było w jaskini. Wyszedł z niej, gdy zobaczył tego gangstera. To on zastawił wejście tym głazem. Może... ach, dajmy temu spokój, to tylko takie babskie obawy!

Nadeszła Rosie.

— Zabiorę Snowmana na wieczorny spacer — oznajmiłam wstając.

— A co z twoim drinkiem? — zdziwiła się.

— Ty go wypijesz! — zdecydowałam.

Siedziałam w hotelowym ogrodzie ze smyczą w dłoni, a Snowman w tym czasie obwąchiwał okoliczne drzewa. Myślałam o Martinie. Zamierzał zrobić coś, o co prosił go ojciec — domyśliłam się tego. Czy miał wrócić do jaskini i zabrać stamtąd to, co schował pan Heaton? A może Heaton już to zabrał uciekając przed gangsterem? A jeżeli ten facet nie działał sam? Może ktoś go wynajął do tej roboty, a teraz sam udał się na poszukiwania? Pomyślałam o Gilesie i o sposobie, w jaki na nas patrzył, kiedy Rosie zrobiła z niego kompletnego głupka.

— Wracaj, potworze! — zawołałam do psa. Posłuchał od razu i przybiegł, machając swoim śmiesznym ogonem.

## Rozdział VI

Położyłam się do łóżka przekonana, że nie uda mi się zasnąć. Po głowie chodziło mi mnóstwo różnych myśli. Ale gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki, zmorzył mnie sen. Zbudziłam się bardzo wcześnie — zegarek wskazywał za kilka minut siódmą. Wstałam i podeszłam do okna. Tym razem Rosie wynajęła pojedyncze pokoje, więc nie musiałam martwić się, czy przypadkiem jej nie obudzę. Dzień był słoneczny, ale w nocy najwyraźniej padało. Ziemia była mokra, a nad górami unosiła się mgła.

Wzięłam prysznic, ubrałam się i zesłam na dół. Chciałam zdobyć numer telefonu Denisa Heaton. Znalazłam go w książce telefonicznej i zapisałam w notesie. Zamierzałam dzwonić do Martina po śniadaniu, żeby upewnić się, że u niego wszystko w porządku. Ciągłe towarzyszyło mi uczucie niepokoju — wróciło, jak tylko się obudziłam, zajmując miejsce sennych marzeń o górach. Powiedziałam sobie, że po wczorajszych przeżyciach powinnam na jakiś czas zapomnieć o wspinaczce.

Na progu jadalni nagle zmieniłam zdanie i wróciłam do telefonu. Dopiero kiedy wykręciłam numer, przyszło mi do głowy, że Heatonowie z pewnością jeszcze śpią, była dopiero ósma rano. Ale przypomniałam sobie, że Diana, Denis i ich dzieci wstają bardzo wcześnie.

Słuchawkę podniosła Diana.

— Halo, Diana Heaton przy telefonie — powiedziała.

— Tu Frances Thorne. Spotkałyśmy się wczoraj.

— Pamiętam, oczywiście — dziewczyna Martina. Jak się czujesz, Frances, po wczorajszych przygodach?

— Całkiem dobrze, dziękuję. Czuję trochę w nogach całą tę wspinaczkę, ale poza tym wszystko w porządku. Czy mogę prosić Martina, jeśli oczywiście już wstał? Jeżeli nie, to proszę go nie budzić. Zadzwoń później. W słuchawce zaległa cisza. Przestraszyłam się, że połączenie zostało przerwane.

— Diana, jesteś tam jeszcze? — zapytałam.

— Tak, tak — odpowiedziała. — Martin wyszedł na spacer, przykro mi... Przekażę mu, że dzwoniłaś, kiedy tylko wróci. Muszę już kończyć, moja droga, dzieci się biją. Do zobaczenia wkrótce.

Odwiesiłam słuchawkę i poszłam do jadalni. Nie w głowie mi było jedzenie, ale gdy podszedł kelner, odruchowo zamówiłam tosta i herbatę. Byłam naprawdę przerażona. Martin na pewno poszedł w góry! A tam przecież czyhało na niego niebezpieczeństwo! Czułam to przez skórę.

Pobiegłam szybko do pokoju. Włożyłam sportowe buty, spodnie, sweter i nieprzemakalną kurtkę. Potem zbiegłam do hallu. Poprosiłam recepcjonistkę, aby przekazała ode mnie wiadomość pani Campion, kiedy ta zejdzie na śniadanie. Por dyktowałam jej kilka słów: „Wzięłam samochód i pojechałam do Kirknewton do państwa Heatonów. Zadzwoń do ciebie, kiedy będę na miejscu. Frances'!

Podczas gdy recepcjonistka pisała, ja stałam jak na szpilkach. Gdy tylko skończyła notować, pobiegłam jak najszybciej na parking.

Dojechałam do Kirknewton i zaparkowałam samochód przed domem Heatonów. Szybko wysiadłam, przebiegłam ścieżkę i stanęłam przed drzwiami. Zastukałam nerwowo.

— Frances! Co za niespodzianka! — wykrzyknęła na mój widok Diana. — Proszę, wejdź!

— O której godzinie on wyszedł, Diano?

— Około wpół do siódmej. Niedługo wróci. Wejdź i wypij filiżankę herbaty.

— Nie, dziękuję, pójdę za nim. Czy możesz mi pożyczyć buty do wspinaczki?

— Oczywiście! No, wejdź, przecież nie będziesz wkładać butów przed domem, na schodach — powiedziała i wciągnęła mnie do środka. Po pięciu minutach byłam gotowa do drogi.

— Włóż czapkę do kieszeni — poradziła Diana. — Teraz jest ładnie, ale później może zrobić się zimno. Zabierz też te miętowe ciasteczka, możesz zgłodnieć po drodze. Czy wiesz, którą poszedł?

— Mam pewien pomysł.

— Wygląda na to, że wiesz co robisz, Frances. Powodzenia. Będę na ciebie czekać.

Uśmiechnęła się, położyła mi ręce na ramionach i ucałowała mnie. — Bądź ostrożna! Padało dziś rano, będzie więc ślisko i mogą pojawić się rozpadliny — ostrzegła jeszcze przed wyjściem.

Poszłam, a ona pomachała mi ręką na pożegnanie.

Zdecydowałam, że nie pójdę główną trasą i to bynajmniej nie dlatego, że mogą tam być rozpadliny. Postanowiłam tak, bo byłam pewna, że jeśli ktoś będzie czekał na Martina, na pewno zacai się właśnie przy głównym szlaku. Martin na pewno się spieszył, chcąc jak najszybciej wypełnić polecenie ojca i nie przysłała mu nawet do głowy myśl, że wczorajszy napastnik mógł przecież mieć jakiegoś współnika. Dlatego ruszyłam za nim. Nie mogłam dopuścić, by coś mu się stało!

Trawa była o wiele bardziej mokra niż poprzedniego dnia. Było bardzo ślisko. Dotarłam do miejsca, gdzie wczoraj zrobiliśmy pierwszy postój. Zobaczyłam ślady, ktoś szedł tędy przede mną. Odpoczęłam przez parę minut, aby wyrównać oddech i ruszyłam dalej. Wspinałam się tak szybko, jak tylko mogłam. Musiałam jednak zwolnić, gdy zaczęły się kamieniste stromizny.

Wspinałam się jeszcze przez jakieś sto jardów. Przystanąłam dopiero słysząc odgłos spadających kamieni. Spojrzałam w bok. Zobaczyłam lawinę kamieni zsuwających się z góry, razem ze strumieniem wody. Stałam i patrzyłam, dziękując Bogu, że nie zaczęłam się wspinać z tamtej strony. I nagle, wśród łoskotu spadających głazów, usłyszałam głos — to był wrzask wściekłości albo wołanie o pomoc, a może okrzyk bólu. Przykucnęłam za niewielką skałką i czekałam. Usłyszałam, że kamienie spadają znowu. Spojrzałam w górę i zobaczyłam mężczyznę. Podnosił się po upadku. Prawdopodobnie pośliznął się na mokrych kamieniach, które następnie się osunęły. Nie widziałam jego twarzy, gdyż stał tyłem do mnie. Kolba rewolweru wystająca zza jego pasa na plecach była jednak doskonale widoczna.

Odwrocił głowę, a ja w ostatnim momencie schowałam się za głazem. Usłyszałam odgłos oddalających się kroków. Po minucie albo dwóch ponownie wyjrzałam. Odszedł. Szybko zaczęłam się wspinać, wiedząc, że muszę dotrzeć do jaskini przed tym mężczyzną. Równocześnie pomyślałam, że nie jestem przecież wcale pewna, czy on rzeczywiście chce dotrzeć do jaskini. Może zaczął się tu na Martina i czekał, aż ten będzie wracał.

Zdecydowałam, że muszę sprawdzić, gdzie ten facet się teraz znajduje. Ale na tej wysokości góry były całkiem gołe i tylko gdzieniegdzie pojawiały się większe skały. Musiałabym wdrapać się na jedną z nich, żeby go zobaczyć. Wybrałam skałę na lewo od mojego szlaku. Wdrapałam się na nią i spojrzałam w kierunku, w którym poszedł mężczyzna. Wspiął się jeszcze, ale był już niedaleko celu. Popełniłam błąd, musiałam teraz nadrobić stracony czas. Zaczęłam iść szybciej. Miałam szczęście — udało mi się znaleźć w miarę suchą ścieżkę, dzięki temu zdołałam go wyprzedzić. Musiałam jednak po pewnym czasie przystanąć, żeby złapać oddech; zauważyłam zresztą, że on zrobił to samo.

Rozważałam swoją sytuację. On był o dwieście jardów ode mnie, a jaskinia oddalona o sto jardów, nie więcej. Droga była z pewnością bardzo mokra — była już mokra poprzedniego dnia, a dzisiaj rano znów padało. Znaczyło to, że trzeba będzie się wspinać pokonując małe strumyki.

Robiło się coraz zimniej. Ruszyłam ponownie w górę i zatrzymałam się dopiero u wejścia do jaskini. Gdzie jest Martin? Przypomniałam sobie wielki głaz, leżący przy wejściu. Teraz został po nim tylko gruz. Wejście do jaskini stało otworem. Zawołałam: — Martin, jesteś tam? Wyszedł bardzo zdziwiony.

— Co do diabła... — zaczął.

— Zamknij się i uciekajmy stąd szybko! — rozkazałam. — Co ty tu właściwie robisz? Tylko mi nie mów, że znowu zwicznęłaś nogę! — dodałam zgryźliwie.



— Nic takiego się nie stało. Odpoczywałem po prostu — odpowiedział. Przez ramię miał przewieszony plecak.

— No. Chodźmy już — ponaglałam. — Kilkadziesiąt jardów stąd jest facet z pistoletem i rwie do góry niczym kozica! Przestań więc gadać i rusz się!

Zaczęliśmy schodzić.

— Czy on cię widział? Wie, że jesteś tutaj? — dopytywał się.

— Nie przypuszczam.

— Franco, posłuchaj uważnie. Jeśli zobaczy mnie, zacznie strzelać! Nie pytaj o nic — weź ten plecak i biegnij na dół. Oddaj go Denisowi. On o wszystkim wie.

Oddaliśmy się od jaskini już o jakieś sto jardów.

— Zatrzymajmy się i zobaczmy, gdzie on jest — zaproponowałam.

Ukryliśmy się za olbrzymią skałą i dopiero wtedy zbadaliśmy teren.

— Żadnego śladu po nim. Może siedzi w jaskini i rozkoszuje się świeżym powietrzem? — zażartował Martin.

— Ha, ha, bardzo śmieszne! — zdenerwowałam się. — Jeśli go nie widać, to może wciąż jeszcze jest po tamtej stronie góry?

— Możliwe — zgodził się. — Albo zatrzymał się gdzieś i czeka, aż będziemy go mijać.

— Jesteś dzisiaj prawdziwą kopalnią dowcipów, Heaton! Dziękuję Bogu, że ja jestem przy zdrowych zmysłach! — zirytowałam się.

— Ależ Franco! — wykrzyknął.

Myślał nad czymś przez chwilę, aż wreszcie zapytał:

— Ale skąd właściwie się wzięłaś? Skąd wiedziałaś, gdzie poszedłem?

— Zgadywałam. Ale dla ciebie oficjalna wersja brzmi: użyłam swego genialnego umysłu. Szukałeś ojca. Twój tato był w jaskini, ale wyszedł z niej, jednakże zastawiając wejście głazem. Nie miał przy sobie żadnych papierów. Wczoraj rozmawiał z nim sam na sam w szpitalu. Jeśli coś schował, powinno to być ciągle tutaj. Nadal jednak istniało niebezpieczeństwo, że ktoś jest na twoim tropie. Kiedy przebudziłam się

dzisiaj rano czułam, że coś ci grozi. Więc pojechałam do Kirknewton. To wszystko.

— To rzeczywiście może być wszystko, jeśli ta świnia zauważy nasze ślady — stwierdził Martin. — Rozejrzę się trochę.

Ale i tym razem nie zobaczył nikogo.

— Czy ty mówiłaś, że on podchodzi z tamtej strony?

— Tak, dlatego ja poszłam drugą.

— Tam osunęła się ziemia. Słyszałem to, gdy byłem w jaskini. Jeżeli mamy trochę szczęścia, to może jest unieruchomiony.

— Wiedział o tym osuwisku — szedł po kamieniach.

— No cóż, to był tylko taki pomysł — zmartwił się.

W tym momencie zaczęło padać. Ruszyliśmy w dół, żartując dla dodania sobie ducha.

— Tylko tego nam potrzeba! — wykrzyknął, ponuro patrząc w górę. — Tutaj nie ma gdzie się schronić, przemokniemy do suchej nitki! Tak mi przykro, moja kochana.

— „Nawet przez Tynę, byle do swej ukochanej...” — przypomniało mi się. — Co za cudowne słowa.

— Zaśpiewam ci je pewnego dnia...

— Śpiewać też umiesz? Czy jest jakaś rzecz, której ten chłopak nie potrafi zrobić?! — zawołałam.

— Umiem też grać na pianinie, moja miła Frances. Taki jestem szczęśliwy, że jesteś tu ze mną!

— Skończ już i skoncentruj się, żeby się na czymś nie potknąć!

Deszcz padał coraz mocniej, błoto pokrywające ścieżkę zmieniło się teraz w obrzydliwą packę. Przypomniałam sobie o czapce, którą dała mi Diana. Wyjęłam ją z kieszeni i nałożyłam, co wywołało u Martina atak śmiechu. Mieliśmy teraz przed sobą ścianę deszczu — prawie nic nie było widać. Szliśmy zdając się na los szczęścia. Pomyślałam, że gangster, jeśli zdecydował się wrócić na dół tą samą drogą, którą wchodził, jest jeszcze w gorszym położeniu niż my. Obawiałam się, że może być gdzieś za nami.

Przystanąłam i spytałam: — Co zrobimy, jeśli on rzeczywiście idzie za nami, Martin?

— Myślę, że... — nagle zamilkł i przyciągnął mnie do siebie. Rozległ się okropny, przerażający hałas. Musiał wykrzyknąć mi prosto do ucha: — To nowe osuwisko! Stańmy za tamtą skałą!

Przykucnęliśmy za skałą, przytuleni do siebie, ale kamienie na szczęście nie poleciały na naszą stronę. Kiedy rumor ustał, wróciliśmy na ścieżkę, która zmieniała się w strumień. Szliśmy brodząc po kostki w wodzie. Jedynym pocieszeniem było to, że deszcz zelżał nieco i widoczność trochę się poprawiła.

— Popatrz tam! — krzyknął Martin i wskazał na wschodnią część stoku.

Wydawało się, że to rzeka spływa z samego wierzchołka góry. Brunatna woda unosiła ze sobą kamienie, kępy trawy i rośliny.

— Martin, tam była owca! — krzyknęłam.

— Widziałem! Biedne zwierzę! Stanęliśmy patrząc w osłupieniu.

Mimo woli

czułam coś w rodzaju podziwu dla niszczącej siły żywiołu.

— Martin, ten facet wchodził tamtędy. Czy myślisz, że zdecydował się zejść tą samą drogą?

— Mógł tak zrobić, jeśli nie wiedział nic o tej górze.

— Chyba powinniśmy pójść i sprawdzić.

— Ależ Frances, co ty sobie wyobrażasz? Nikt nie będzie w stanie wejść tamtędy do momentu, aż ziemia ponownie osiadzie, a to może trwać tygodnie! Czy widziałaś dużo owiec, kiedy szłaś w górę?

— Może z kilkanaście sztuk. Przede wszystkim obserwowałam drogę, aby się upewnić, że ten facet mnie nie widzi. Mógł nie być sam. Wzruszył ramionami.

— Owce wyczuwają niebezpieczeństwo. W pewnych sprawach są mądrzejsze od ludzi. No cóż, chodźmy!

To była straszna droga, co krok ślizgaliśmy się i potykaliśmy. Od czasu do czasu razem z deszczem spadały na nas odłamki skalne.

Na dole, oparty o wielki głaz, czekał na nas Denis.

— Postanowiłem, za dziesięć minut iść po was — powiedział. — Całe szczęście, że byliście na wschodniej stronie! Wspiąłem się trochę i widziałem, ile jagniąt tam zginęło! Z wami wszystko w porządku? Poza tym, że oczywiście jesteście przemoczeni do suchej nitki?

— Jesteśmy cali - odpowiedział Martin. — Misja została wykonana.

— Dobrze. Wracajmy więc. Musicie jak najszybciej zmienić ubranie i wziąć kąpiel.

— Wystarczą suche ubrania, jesteśmy już po kąpieli — zażartował Martin.

Od Heatonów zadzwoniłam do Rosie. Dziewczyna w recepcji poinformowała mnie, że pani Campion pojechała do Lillington odebrać samochód, a pan Rogers pojechał razem z nią.

— Pani Campion poleciła mi, bym pani przekazała, że będą z powrotem o szóstej.

— Dziękuję — odłożyłam słuchawkę.

— Czy naprawdę musisz jutro wracać, Franco? — zapytał Martin.

— Muszę. Urlop się skończył; od poniedziałku znowu idę do pracy.

— Nie mogłabyś nagle zachorować, albo coś w tym rodzaju?

— Nie da rady! — odpowiedziałam. — Będę miała jeszcze trochę wolnego w listopadzie. Wtedy będziemy mogli pojechać na narty do Szwajcarii.

Siedzieliśmy na sofie w małym saloniku. Byliśmy sami. Diana pobiegła po dzieci, które poszły na przyjęcie urodzinowe do sąsiadów, a Denis udał się do jednego ze swych przyjaciół. Musieli zastanowić się, co zrobić z jagniętami, które pozostały na stoku.

Sofa była miękka i wygodna, a ktoś, kto siedział obok, całował mnie bez pamięci.

— Twój urlop też się kończy, jeśli już o tym mowa, Heaton!

— Tak, aleja mam dobrą wymówkę, żeby nie wracać do pracy — zwichnięta kostka — zaśmiał się.

— Ty stary oszuście! Z twoją nogą jest już wszystko w porządku!

Ale i tak, z tego co wiem, musisz wracać do Londynu.

— Tak. Wracam pociągiem. Mój samochód jest w naprawie w Oxfordzie.

— I może chcesz mi wmówić, że z Oxfordu przyjechałeś tu na rowerze?

— Przyjechałem pociągiem, a rower wypożyczyłem tutaj.

— Ach, tak! No cóż, nie spieszyłeś się z wyjawieniem tego! No, mniejsza z tym. To w każdym razie oznacza, że Rosie nie musi ci kupować nowego roweru.

— Muszę zapłacić za wypożyczenie. Ale jeśli ona jest splukana, myślę, że będę w stanie zdobyć jakąś gotówkę — odparł śmiejąc się.

— Martin — skierowałem rozmowę na poważniejsze tory — trzeba załatwić tamtą sprawę do końca.

— Załatwię ją, Frances, nie martw się! Teraz już nie ma z tym wielkiego pośpiechu!

— Czy nie myślisz, że im szybciej umieścisz tę paczkę w banku czy w jakimś takim miejscu, tym szybciej będziesz bezpieczny?

— Co sugerujesz?

— Dlaczego nie zawieziemy jej dzisiaj tam, gdzie zamierzasz ją ukryć?

— Dzisiaj wieczorem? Chyba nie mówisz poważnie!

— Col nas zawiezie! Nie będzie miał nic przeciwko temu. Jest bardzo sympatycznym facetem, w a dodatku moim przyszłym wujkiem Colbertem!

— To jego imię? Obawiałem się, że Col to skrót od imienia Colbert! Co za pomysł tak kogoś nazwać. Mogę się założyć, że musiał przez to stoczyć parę walk w szkole.

— Założę się, że wszystkie wygra! Pojedziemy dzisiaj do Wooler na kolację. Poproszę Cola, aby zabrał nas do Londynu. Zgoda?

— Nie, Franco.

— O której godzinie zjawi się tu twoja mama?

— Przed piątą. I prawdopodobnie zaraz pojedziemy do ojca.

Za to ty — spojrział na mnie krytycznie — mogłabyś inaczej się ubrać i uczesać.

Rzeczywiście, moje włosy znajdowały się w wyjątkowym nieładzie.

— Tak jest, kochanie. Czy tego mam się spodziewać od ciebie po ślubie? Rozkazów? Zrób to, zrób tamto, zrób jeszcze coś?

— Oczywiście! Przede wszystkim tego ostatniego...

O szóstej pojechaliśmy z panią Heaton do szpitala. Jej mąż wyglądał o wiele lepiej i był w dobrym nastroju. Spytał Martina, czy był na wspinaczkę. Martin przytaknął i dodał, że nie odwiedzi go jutro, bo jedzie do Londynu.

— Zastanawiam się, czym pojedziesz? Pociągiem? — spytał Heaton.

— Nie, Col zabierze mnie samochodem.

Wyszliśmy z separatki. Powiedzieliśmy Denisowi i Dianie, że mogą już wejść do środka. My zaś pojechaliśmy do Wooler.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, poszłam się przebrać, a potem dołączyłam do trójki, czekającej w hotelowym barze. Col zamówił już dla mnie dżin z tonikiem.

— Opowiedzcie nam, co zdarzyło się dzisiaj rano, na litość boską! — zażądał. — Rosie martwiła się o ciebie, Franco, przez cały dzień! Kiedy zadzwoniła do Heatonów i Diana powiedziała jej, że poszłaś w góry z Martinem, o mało nie dostała ataku!

— To te wiadomości w lokalnym radio, których słuchałam — wyjaśniła ciotka. — Włączyłam stację, aby posłuchać muzyki, bo Col przez całą drogę śpiewał jakieś okropne licealne piosenki, co doprowadziło mnie do szaleństwa.

— Jak możesz, kochanie, śpiewam jak ptak!

— Jak sęp!

— O nie! Raczej jak sowa!

— Teraz wolałabym raczej usłyszeć śpiew

Franco. Opowiadaj! Wszystko od początku! - zażądała.

Nie miałam wyboru.

— A więc doprowadzili do porządku twoje cudo na czterech

kółkach? — zapytałam, przełknawszy ostatni kęs.

— Wygląda przepięknie! Snowman będzie zadowolony — jest dużo więcej miejsca na tylnym siedzeniu.

— Nareszcie będzie miał gdzie położyć swój ogon — zaśmiał się Col.

— Nie obrażaj zwierzęcia! — zawołałam.

— Zmieniając temat, jak tam twoja kostka, Martin? — spytała Rosie.

— Wraca do normy.

— Martwiłam się, bo znowu się wspinałeś. Byłaby to lekka przesada, gdybyś zwichnął ją po raz trzeci!

— Nie staraj się być złośliwa, Rosie! Zdarzały się gorsze rzeczy, kiedy grałem w rugby. Przy okazji, czy dalej podtrzymujesz swoją ofertę podwiezienia mnie jutro do Londynu, Col?

— Oczywiście! Masz to załatwione! Porozmawiajmy lepiej o grze w rugby!

Wymieniliśmy z Rosie spojrzenia. Mogłyśmy ich tylko zignorować. Zajęłyśmy się sobą i naszymi planami podróży na następny dzień. Zamierzali wyjechać o świcie, aby spokojnie, nie spiesząc się, dojechać na miejsce. Siedzieliśmy tak sobie pogrążeni w rozmowie, gdy do naszego stolika podeszła kelnerka i oznajmiła, że pan Heaton proszony jest do telefonu. Dzwonił Denis.

Spojrzałam na moich towarzyszy.

— Może chodzi o jego ojca?

— Nie sądzę! — zaprotestowała Rosie. — Ma się przecież lepiej! Przestań panikować, napij się trochę burgunda.

Martin wrócił do stolika z poważną miną.

— Mam nadzieję, że to nie były złe wiadomości? — powiedział Col.

— Nie dla nas — odparł Martin. — Wyjaśniły się chyba losy tego drugiego faceta. Jeden z farmerów poszedł na hale sprawdzić, co z jagniętami i znalazł ciało mężczyzny. Miał pistolet. Został ściągnięty w dół przez osuwające się kamienie i wodę.

Wezwano policję i zidentyfikowano go. Okazało się, że ostatnią noc spędził w Wooler.

— Wooler? — spytałam.

— Tak, w hotelu Millfield. Ustalono jego tożsamość. Był to pan Giles z Guildford w Surrey.

— Czy ustalono także jego zawód, Martin? — zapytała Rosie.

— Był urzędnikiem państwowym w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Myślę, że mój ojciec go znał.

— Czy to był ten facet, który was śledził?

— Tak, jeździł za nami to tam, to tu, to tam...

Piliśmy drinki, a Rosie opowiedziała Martinowi o Gilesie, jak nas przesłuchiwał, jeździł za nami po hotelach, jak udało się nam wywieść go w pole.

— Ale nie wiedziałyśmy, o co w tym wszystkim chodzi — stwierdziła. — Mogłyśmy się tylko domyślać. Co ty na to, Col?

— Szesnastego będziecie wiedzieć, czy miałyście rację, a siedemnastego, to znaczy w środę, będzie o tym głośno we wszystkich gazetach — powiedział Martin.

— W takim razie szesnastego zapraszam was do siebie na kolację — zaproponował Col. — Mam nadzieję, że przyjmiecie zaproszenie?

— Bez wahania! — odpowiedziałam za wszystkich.

Nasze spotkanie szesnastego odbyło się, nie jak wcześniej zaplanowaliśmy, w hotelu u Cola, ale w mieszkaniu Rosie w Hampstead. Cioteczka przez cały dzień pichciła najrozmaitsze potrawy. Kiedy zadzwoniłam do niej wcześniej rano, z ulgą przyjęła zaoferowaną przeze mnie pomoc.

Jedzenie było wyśmienite — goście nie mogli znaleźć słów uznania dla zdolności kulinarnych pani domu. Martin i Col przynieśli ze sobą szampana.

Po kolacji Martin opowiedział nam wreszcie całą historię. Było wprost niewiarygodne, jak bardzo nasze przypuszczenia okazały się zgodne z rzeczywistością.



Pewnego dnia Heaton szukał czegoś w starych szufladach i niespodziewanie znalazł, głęboko schowane na dnie jednej z nich, jakieś dokumenty. Przeczytał je i zrozumiał, że informacje w nich zawarte kompromitują czterech pracowników Departamentu — dwóch z nich zatrudnionych było w jego wydziale, a jedną z pozostałych osób był Giles pracujący w Departamencie Bezpieczeństwa. Cała ta czwórka pomagała organizacji z Afryki Zachodniej przygotować w jednym z tamtejszych państw przeprowadzenie przewrotu umożliwiającego dojście do władzy faszystom. Okazało się, że zamieszane w tę aferę osoby są ważnymi urzędnikami w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, dlatego też Heaton bał się, że jeżeli opowie o swoim odkryciu Służbom Bezpieczeństwa, źle się to dla niego skończy. Mógł po prostu spodziewać się najgorszego, włącznie z napaścią na jakiejś ciemnej ulicy i zamordowaniem.

— Nie chce mi się wierzyć w to co słyszę — zdumiał się Col.

— Zapewniam cię, że to prawda — powiedział Martin. — No cóż, szef mojego taty był właśnie na wakacjach. Ojciec tylko jemu ufał, więc zdecydował się ukryć dokumenty do jego powrotu, dopiero wtedy mu je przekazać. Ale na nieszczęście ktoś odkrył, że te akta zostały znalezione. Dzięki Bogu, mój ojciec dowiedział się o tym w porę. Giles ruszył jednak jego śladem, a potem też i moim, bowiem przypuszczał, że wiem, gdzie jest mój ojciec. Nie mogłem tego wiedzieć, no ale moje domysły były słuszne. Bałem się o ojca. Myślałem, że stracił pamięć, że... różne myśli przychodziły mi do głowy. I wtedy właśnie zwichnąłem nogę; musiałem zaprzestać dalszych poszukiwań. Więc Giles ruszył za wami — za Rosie i Franco. Na szczęście nic nie wskórał.

Przerwał na chwilę.

— Mój ojciec, kiedy już leżał w szpitalu, powiedział mi, gdzie są te dokumenty. Schował je pod skałę; nikt nigdy nie znalazłby ich, były świetnie ukryte. Poprosił, abym je wydobył i dostarczył szesnastego jego szefowi. To wszystko. Co się stało z Gilesem, też wiecie...

— Jednego tylko nie mogę zrozumieć — odezwała się Rosie —

dlaczego te dokumenty nie zostały wcześniej zniszczone? Dlaczego je zachowano?

— Ktoś musiał najwidoczniej przewidywać, że jeszcze mogą się przydać, chociażby dla szantażu. Zgaduję, że tym kimś był Giles. Ojciec poradził mi, abym wysłał kopie tych dokumentów do gazet, by mieć całkowitą pewność, że nie będzie żadnych machlojek. Zrobiłem to dzisiaj rano — mówiąc te słowa wstał i podniósł kieliszek.

— Wznoszę toast moi drodzy! Za Snowmana, naszego kochanego potwora, bez którego ta historia nie skończyłaby się tak szczęśliwie!

Uczciliśmy Snowmana szampanem.

Trzy miesiące później wyszłam za mąż za Martina, a niedługo potem Rosie poślubiła Cola i wyjechała z nim do Filadelfii. Snowman został ze mną i z Martinem w Anglii. I taki jest koniec tego opowiadania. Mogę tylko dodać, że mamy zamiar żyć długo i szczęśliwie...